WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
ROK VII
Nr 40 (313)
1 października 1967 r.

Maria Cecylia Guziołek

OAZY NOWOCZESNEJ TURYSTYKI

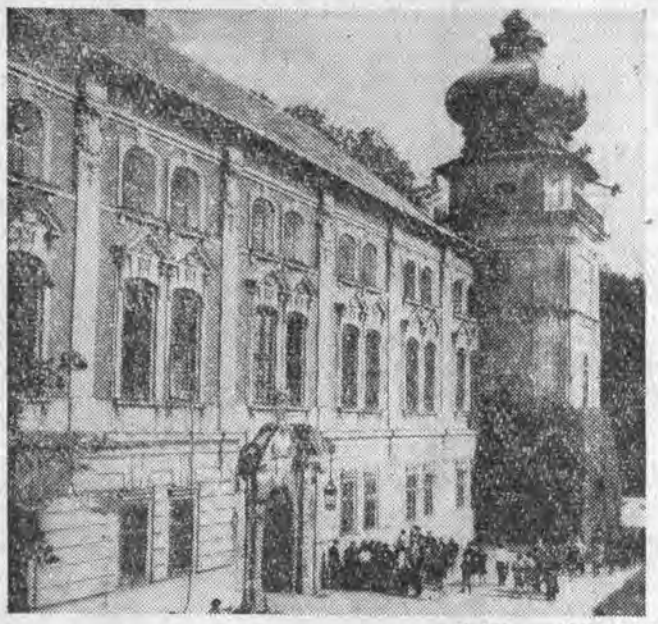

CAF — ROSIEK

W dniach 20 — 22 września br. w zamku łańcuckim obradowała Międzyresortowa Komisja do Spraw Współdziałania Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. W sesji brali również udział kierownicy wydziałów kultury prezydiów wojewódzkich rad narodowych i kierownicy wojewódzkich komitetów kultury fizycznej i turystyki z całego kraju.

Komisja Międzyresortowa powstała niedawno i właśnie pierwsze swe posiedzenie odbyła w Łańcucie. Bez fałszywej skromności musimy przyznać, że było to miłe wyróżnienie nie tylko gospodarzy łańcuckiego zespołu muzealnego, ale całej Rzeszowszczyzny, uznanie wysiłku władz i działaczy społecznych w zachowaniu pomników kultury i historii, w tworzeniu z nich atrakcyjnych ognisk oświaty i kultralnego wypoczynku, oaz nowoczesnej turystyki. Sesja pozwoliła także licznej grupie gości — chociaż tylko fragmentarycznie — poznać piękno naszej ziemi i krajobrazu, uczynić z nich gorących propagatorów uroków południowo-wschodniej Polski.

Jeden z dwu podstawowych referatów należał do dyrektora Zamku — Muzeum, Antoniego Dudy — Dziewierza, który przedstawił wizję łańcuckiego zespołu muzealnego za lat kilka. Jest to fascynujący plan tworzenia na Rzeszowszczyźnie nowoczesnych, ogromnie atrakcyjnych ośrodków turystyczno-wypoczynkowych na bazie zabytkowych budowli.

Zanim wprowadzę w tajniki zamierzeń, winna jestem wyjaśnienia „nowotworu językowego", który coraz częściej pada w różnych dyskusjach, pojawia się na szpaltach pism. Otóż określenie „zespół muzealny" to nie jest tylko inna nazwa dla tego czy innego muzeum, lecz mówi o grupie obiektów zabytkowych, podporządkowanej jednej administracji, i chociaż położonych w różnych częściach województwa, tworzą one jakoby jedną wielką ekspozycję muzealną. Ta nowość w zagospodarowywaniu zabytków pozwala na zorganizowanie atrakcyjnej sieci turystyczno-krajoznawczej, której ozdobą będą pomniki kultury, historii, przyrody itp.

A więc Łańcut w roku... o nie, dziś jeszcze nikt nie jest w stanie podać terminu zakończenia założeń, opracowanych z rozmachem i twórczą fantazją. Wierzymy jednak, iż realizacja przebiegnie szybciej niż przyzwyczailiśmy się przewidywać!

Wędrując po Łańcucie, zamku i jego pięknym parku wydaje się, że tu już nic więcej zrobić się nie da. Tymczasem w centrum Łańcuta znajduje się zabytkowa synagoga, która miała już różne przeznaczenia. Wydaje się, że obecna koncepcja jest najciekawsza i najsłuszniejsza. Powstanie tu Muzeum Martyrologii i Walki tego regionu z okupantem. Zrekonstruowana sala modlitw będzie tworzyła zabytek sam dla siebie i udostępniona turystom. W ten sposób historia społeczeństwa łańcuckiego znajdzie pełne odbicie w ekspozycjach tutejszych.

Następny obiekt: Zameczek Romantyczny. Tu po konserwacji i odpowiednim zaadaptowaniu rozgości się klub oświatowy Zamku-Muzeum, z którym współdziałać będzie PTTK i biblioteka powiatowa.

Sławna Oranżeria Aignerowska dziś cieszy ogrodem zimowym, licznie odwiedzanym przez samych mieszkańców Łańcuta i młodzież z naszego województwa i kraju. Zamierza się jednak rozbudowę obiektu i zorganizowanie Muzeum Przyrody. Ogród Zimowy rozgości się natomiast w Storczykarni. W ten sposób przybędą nowe obiekty do zwiedzania, dla oczekujących swej kolejki do obejrzenia zbiorów pałacu. Obecnie już w sezonie wycieczkowym liczba zwiedzających Łańcut dochodzi 5 000 osób dziennie. Dzięki coraz większej popularności, zwiedzających z roku na rok będzie więcej. Myśli się więc o wypełnieniu czasu gościom przybyłym w podwoje zabytków Łańcuta.

Dalszą niespodzianką będzie utworzenie w Stajniach Cugowych stałej ekspozycji pt. „Historia pojazdu i zaprzęgu konnego" I tu uroczy pomysł. Ponieważ zbiór powozów jest wielki, część jego można wykorzystać do przejażdżek. Zostaną zakupione konie i turysta wracający z Łańcuta, będzie mógł się pochwalić przejażdżką zabytkowym powozem! Myśli się również o tym, by wynajmować konie pod siodło miłośnikom pięknego sportu jeździeckiego.

Dwadzieścia kilometrów od Łańcuta położony jest Julin, w którym znajduje się myśliwski zameczek Potockiego. Julin podobnie jak Łańcut powinien otrzymać hotelik i restaurację, by mógł służyć jako miejsce wypoczynku dla miłośników sportu itp.

Do zespołu łańcuckiego należy jeszcze Krasiczyn i Sieniawa. Krasiczyn — perła architektury polskiego renesansu będzie tworzyła zespół sam dla siebie. Jedyną przeszkodą w szybkim uruchomieniu tego ośrodka jest pracujące tu Technikum Leśnictwa, które szczyci się 1 000 uczniów. Technikum, decyzją Ministerstwa Leśnictwa przeniesione będzie do Leska. Idzie obecnie o to, by nowa siedziba szkoły została zbudowana jak najszybciej. Wówczas przepiękny park będzie mógł zaroić się turystami i wczasowiczami. Ekspozycja muzealna w zamku prezentować będzie polską kulturę magnacką XVI i XVII w.

Najwięcej kłopotu jednak z Sieniawą. I ona chyba po zabezpieczeniu pałacu przed dalszym zniszczeniem będzie najdłużej musiała czekać na zagospodarowanie. Park rozległy i jeszcze w zupełnie dobrym stanie już się konserwuje. Ten obiekt można przeznaczyć na miejsce wypoczynku dla turystów zmotoryzowanych i stanicę wodną. Naturalnie w barokowym pałacu prócz składnicy zabytków ruchomych, znalazłaby się część wystawowa. Zagospodarowanie pałacu sieniawskiego i budynków pomocniczych mogłoby przyczynić się do ożywienia ruchu turystycznego w tej części województwa. I to coś znaczy!

(Ciąg dalszy na str. 2)

Polska prapremiera w łańcuckim Zamku

W niedzielę odbędzie się polska prapremiera „komedii z arietkami w 2 aktach" czyli **„Cyganów z Andaluzji"** Jana Potockiego w tłumaczeniu Jerzego Zagórskiego.

Tę wdzięczną śpiewogrę polskiego pisarza, rozmiłowanego we francuzczyźnie i językiem słodkiej Francji się posługującego, zobaczymy po raz pierwszy w Polsce w scenerii zupełnie niecodziennej — bowiem w pięknym teatrzyku łańcuckim. Że stanowi ta oprawa dodatkowy urok, nie trzeba wtajemniczonych, by rzecz pojęli. Odbędzie się ten mairaż teatru z muzeum z okazji inauguracji Roku Muzealnego i włączenia się Muzeum - Zamku w Łańcucie do międzynarodowej kampanii muzealnej.

Śpiewogrę „Cyganie z Andaluzji" reżyseruje **Stanisław Bieliński**, scenografię do niej opracował **Otto Axer**, choreografię — **Barbara Fijewska**, a muzykę — **Zbigniew Bujarski.**

Adolf Jakubowicz

Można tu bardzo dużo zrobić...

Chciałbym przytoczyć opinię na temat sesji przewodniczącego Międzyresortowej Komisji wiceministra Zygmunta Garsteckiego zanotowaną bezpośrednio po pierwszym dniu obrad i wiceprzewodniczącego GKKFiT Leszka Bednarskiego, po ich zakończeniu.

Wiceminister Kultury i Sztuki ZYGMUNT GARSTECKI:

Mariaż kultury, turystyki i sportu wypływa z współczesnego pojmowania kultury w jakimś bardzo szerokim ujęciu tego słowa. Mówiono o tym obszernie na Kongresie Kultury Polskiej, gdzie sprawy te wypływały m. in. od strony problemu zagospodarowania wolnego czasu od pracy. Propozycje, z którymi wychodzimy do odbiorcy, my, mam na myśli w szerokim znaczeniu resort, a więc instytucje artystyczne, muzea i tysiące innych form, i propozycje, z którymi wychodzi sport i turystyka stanowią podstawowy wachlarz form zagospodarowania wolnego czasu młodzieży i dorosłych.

I nam w gruncie rzeczy przypadła największa rola, oczywiście z naszymi sojusznikami, związkami zawodowymi, organizacjami młodzieżowymi, towarzystwami sportowymi, turystycznymi itd.

Stąd chyba ten sojusz, ten mariaż był logicznym następstwem nowej sytuacji, w jakiej nasze życie kulturalne w szerokim znaczeniu tego słowa rozwija się. Chcemy wykorzystać dla realizacji wspólnych zadań wspólną bazę. I jeden i drugi resort ma wysoko kwalifikowaną kadrę, świetnych działaczy sportowych, turystycznych, działaczy kultury, którzy od dawna odczuwali potrzebę łączenia wysiłków, bo bo ostatecznie odbiorca na dole nie pyta kto przychodzi do niego z rozrywką turystyczną, czy kulturalną, mówiąc w skrócie minister Motyka, czy przewodniczący Reczek. Interesuje go, by były to propozycje kompleksowe, które pozwolą mu dokonać wyboru. Chodzi tu m. in. o rozwiązania w rodzaju wspólnych imprez. W Rzeszowskiem mówi się na przykład o włączeniu jako pilota turystycznego — „Extracy". Mówiono o tym w dyskusji. To bardzo ciekawa inicjatywa. Oczywiście my, sami jako Komisja Międzyresortowa, chcemy wyjść z szeroką inicjatywą ogólnokrajową w 25-lecie PRL. Nasi pracownicy przygotowujący tę koncepcję nazwali ją TURKUSRM (turystyka — kultura — sport). Ale już w chwili obecnej, mówiono o tym w dyskusji, jest dużo ciekawych inicjatyw i doświadczeń, które można uogólnić i stąd bardzo ciekawa sesja. Zachodzi pytanie: co dalej? Sam Łańcut jest chyba wzorcem i przykładem tego, jak można te elementy łączyć.

— Porozumienie, które zostało zawarte sankcjonuje już rzeczy istniejące, bo potrzeba i praktyka tej współpracy znane są nam już od pewnego czasu.

— Sankcjonuje pewne tendencje, które trzeba rozwinąć, upowszechnić, bo jeżeli w turystyce już mamy sporo tych faktów, doświadczeń, inicjatyw wspólnych, to w sporcie jest ich jeszcze za mało, a aż się prosi, by te wspólne piękne masowe imprezy organizować.

Poza tym są duże możliwości rozwijania bardzo ciekawej pracy kulturalnej w klubach sportowych i odwrotnie — można rozwijać formy krzewienia kultury fizycznej w domach kultury i innych instytucjach.

Jednym słowem jest tu ogromne pole dla inwencji, pomysłowości. Można już chyba dziś powiedzieć, że to porozumienie obydwu resortów ułatwi pracę komisji również przez to, że tendencja do kojarzenia pracy jest wśród działaczy bardzo wyraźna.

— Czy jako przewodniczący Międzyresortowej Komisji d/s Współpracy Ministerstwa Kultury i Sztuki i Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki jest Pan zadowolony z obrad pierwszego dnia?

— Jak najbardziej. Również dlatego, że już w pierwszym dniu wyszły problemy, które będziemy wprowadzać do pracy Komisji. Np. problem podniesiony tu przez członka Komisji Kultury, Turystyki i Sportu WRN dotyczący „mikroregionów" turystycznych i kulturalnych, które trzeba zagospodarować, a które tu w Rzeszowskiem są bardzo interesujące. Problem „mikroregionów" dla rozwinięcia turystyki w gruncie rzeczy dotyczy całego kraju. To jest duży problem. Ta propozycja nam bardzo odpowiada i włączymy ją do naszej pracy. Oczywiście jest znacznie więcej inicjatyw, które wypłynęły w dyskusji. Jesteśmy z niej bardzo zadowoleni.

Poza tym sama ilustracja, którą mogliśmy zobaczyć na przykładzie Łańcuta, potem ciekawe propozycje w Leżajsku, początek koncertów organowych na tych wspaniałych organach, to wszystko wskazuje, że można tu bardzo dużo zrobić.

Po zakończeniu sesji poprosiłem o wypowiedź wiceprzewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki LESZKA BEDNARSKIEGO, który dokonał podsumowania trzydniowych obrad.

— Rzeczywiście, wrażenia są tak silne i odbierane w tak szybkim tempie, że nie było jeszcze czasu na ich uporządkowanie. Ale jest na pewno w tej masie różnych spostrzeżeń kilka, które utrwaliły się najbardziej.

Myślę, że myśmy tutaj na ziemi rzeszowskiej mieli zaprezentowany piękny program wykorzystania zabytków kultury narodowej w ruchu turystycznym. Łańcut jest już szeroko spopularyzowany w społeczeństwie, ale na przykład Krasiczyn zrobił na mnie ogromne wrażenie. Przepiękny park, wspaniały zamek. Krasiczyn to sprawa nie tylko województwa rzeszowskiego, to jakiś problem ogólnonarodowy. Wydaje mi się, że zbyt powoli przystępujemy do opracowania programu jego wykorzystania.

Sądzę, że w najbliższym roku winniśmy już sprecyzować jego funkcję i jakoś intensywniej przystąpić do zagospodarowania tego zamku. Drugi problem, bardzo ciekawy, to zamiar utworzenia skansenu cerkiewnego w Bieszczadach. Wydaje mi się, że to co przedstawił nam dyrektor Duda-Dziewierz jest chyba bardzo rozsądne. Mianowicie, aby przystąpić do wznoszenia tak oczywiście nie wszystkich, ale kilku najbardziej cennych obiektów, zagospodarować turystycznie najbliższy teren, zrobić dojazdy itp. Cerkiewki te są w poważnej części nieudostępnione. Sam widziałem magazyn ikon, ogromny, wspaniały zbiór. O tym wszystkim społeczeństwo nie wie. Najwyższy czas, by udostępnić to wszystko turystom.

— Główne wnioski wypływające z obrad?

— Problemy generalne. Nasze porozumienie, rok doświadczeń Międzyresortowej Komisji muszą być podchwycone już przez szczebel wojewódzki. Oczekujemy, że w roku 1968 w sposób już zorganizowany wojewódzkie wydziały kultury i wojewódzkie komitety kultury fizycznej i turystyki dopracują się rocznego programu tej współpracy.

Jeżeli chodzi natomiast o problem dotyczący wykorzystania zabytków w ruchu turystycznym, który był zasadniczym tematem naszej sesji, to uważam, że trzeba jak najpilniej powołać zespół złożony z przedstawicieli obu naszych resortów i rad narodowych, który by w przeciągu pół roku przedstawił program zagospodarowania tych obiektów.

Jan Hoser

Socjologowie zakładowi — badacze czy urzędnicy

Jak do tej pory nie ma ośrodków badawczych, którym ambitny dyrektor czy przedsiębiorcza rada zakładowa mogłaby zlecić okresowe przeprowadzanie badań dotyczących przyczyn płynności załogi, opinii o przedsiębiorstwie czy stylu kierowania podwładnymi. Czasem warto ustalać kierunki działania w akcji socjalnej w oparciu o rozeznanie opinii i potrzeb załogi; autobus wycieczkowy, domki campingowe czy przedszkole? Im bardziej bierze się pod uwagę „czynnik ludzki" w produkcji, tym więcej powstaje pytań wartych uzasadnionej odpowiedzi. Istnienie wyspecjalizowanych zespołów badawczych mogłoby być pomocą dla przemysłu, świadcząc usługi nie za bardzo naukowe, ale praktycznie przydatne. Wprawdzie czasem socjologowie odkrywają prawdy doskonale znane wszystkim pracownikom, od dyrektora do robotnika placowego, ale to już jest sprawa sposobu zlecania badań.

Nieco na prawach eksperymentu i pod naciskiem sytuacji znaleziono wyjście kompromisowe, zaczęto przyjmować do pracy socjologów na stanowiska socjologów zakładowych. Czasami eksperyment taki kończy się powodzeniem, ale bywa też, że kończy się kariera socjologa zakładowego. Najczęściej niepowodzenie następuje wtedy, kiedy socjolog jest sam, a kierownictwo zakładu dopiero po przyjęciu socjologa do pracy zastanawia się nad konkretnym zakresem obowiązków i uprawnień nowego nabytku. Sukces częściej ma miejsce wtedy, kiedy tworzy się zespół z jednym choćby specjalistą zdolnym wypracować wpólnie z dyrekcją przemyślaną koncepcję działania i zapewnić sobie szacunek zbliżony do wyżyn zastrzeżonych dla nauk technicznych.

Jakie są problemy rozwijającej się grupy socjologów-praktyków, stanowiących niewielki przyczółek humanistyki w świecie techniki?

HUMANISTA CZY SOCJOTECHNIK?

Trzeba pamiętać, że socjolog — ten z wyższym wykształceniem, ale bez praktyki — jest produktem typowych studiów humanistycznych. Jego punkt widzenia i znajomość problematyki przemysłowej stawia go dość daleko od środowiska techników i atmosfery wynikającej z podporządkowywania wielu spraw wykonaniu planów produkcyjnych. Niewątpliwie atmosfera pracy zakładu i stopień zainteresowania techników problematyką załogi, widzianej nieco szerzej niż z perspektywy zadań produkcyjnych, mogą zyskać, jeżeli w zakładzie znajdzie się miejsce dla humanisty, dającego pierwszeństwo sprawom ludzi. Teoretycznie wielu inżynierów i kierowników przyznaje, że są to sprawy ważne i często niedoceniane, ale w praktyce znacznie częściej pada pytanie, co wnosi socjolog do procesu produkcyjnego, o ile może się jego obecność przyczynić do wykonania planu? Inaczej mówiąc, od socjologa zakładowego oczekuje się nie tyle ogólnej humanizacji zakładu, co wkładu praktycznej wiedzy o kierowaniu załogą w celu osiągnięcia lepszych efektów produkcyjnych. Inżynierowie twierdzą, że brak im wiedzy o skutecznych metodach kierowania załogą. Jeżeli socjolog taką wiedzą dysponuje, to dobrze, jeżeli nie — to na humanistykę jest czas po wyjściu za bramę zakładu, w godzinach poza pracą produkcyjną.

Powszechny stereotyp przyznaje wyższą pozycję w świadomości ludzkiej pracownikowi twórczemu, niezależnemu w swoich sądach i zainteresowaniach niż funkcjonariuszowi podejmującemu tylko te problemy, które wynikają z bieżących zadań, a własne zdanie musi zbyt często zastępować odwołaniem się do decyzji szefa. Z praktycznego punktu widzenia sprawa dla socjologa jest jeszcze trudniejsza niż w przypadku wyboru między rolą humanisty a rolą socjotechnika. Poważna część wniosków socjologa opiera się na dobrowolnej współpracy z osobami udzielającymi informacji, czy to będą wywiady, czy anonimowa ankieta.

W tej sytuacji zachowanie wzajemnego zaufania między socjologiem a załogą jest niezbędnym warunkiem działalności i prowadzenia badań. Gdyby nie to, że specyfika lokalna dużego przedsiębiorstwa jest bardzo trudna do penetracji przez osobę z zewnątrz, to byłoby najlepiej, żeby badania socjologiczne były prowadzone przez kogoś innego niż socjologowie zakładowi. Jeżeli jednak istnieje konieczność prowadzenia takich badań własnymi siłami, to przyjęcie postawy funkcjonariusza dyrekcji stawia nieraz pod znakiem zapytania możliwość uzyskania szczerych odpowiedzi. Sytuacja badacza na etacie zakładu nie jest prosta!

Dlatego też nie są pozbawione podstaw poglądy, że w przedsiębiorstwie nie potrzeba badaczy, ale raczej funkcjonariuszy i urzędników, którzy, zajmując stanowiska w dziale personalnym, socjalnym czy szkolenia, dysponują wykształceniem i wiedzą socjologiczną. Można by też dyskutować nad słusznością poglądu, że dyrekcji przedsiębiorstwa jest potrzebne rozeznanie w nastrojach załogi, w przyczynach płynności czy w skuteczności stosowanych metod kierowania ludźmi, ale nie należy uważać, że sondaże idące w tym kierunku stanowią działalność badawczą. Są to raczej zastosowania znanych i od dawna opracowanych technik, które mógłby, stosować okresowo fachowy zespół działu personalnego bez powoływania odrębnych komórek badań socjologicznych. Ale jeżeli w tej chwili nie dysponujemy odpowiednio silnymi kadrowo i organizacyjnie działami personalnymi? Wtedy powstaje problem...

...SAM CZY W ZESPOLE?

W braku odpowiednio rozbudowanego i dysponującego programem działania działu personalnego socjolog zakładowy jest często zdany na własne siły. Tak jak żaden inżynier nie może porywać się na rozwiązanie w pojedynkę wszystkich technicznych problemów dużego przedsiębiorstwa, tak nie mógłby się tego podjąć socjolog zakładowy. A nawet, ograniczając się do ściśle określonego zakresu działania, pojedynczy socjolog ma wyjątkowo trudną sytuację w środowisku techników. Do czasu wypracowania przez przedsiębiorstwo własnej polityki personalnej, której elementem byłyby prace socjologa, konieczna jest współpraca z wyspecjalizowanymi zespołami socjologicznymi. Zwłaszcza z psychologami, lekarzami i innymi osobami zajmującymi się w przedsiębiorstwie pokrewną problematyką.

Wydaje się, że o przydatności obecnego ustawienia badań socjologicznych w przedsiębiorstwie powinni się wypowiadać głównie ci, którzy z nich korzystają, a więc dyrektorzy i kierownicy przedsiębiorstw. Osobiście sądzę, że indywidualny socjolog w przedsiębiorstwie może istnieć tylko jako funkcjonariusz na określonym stanowisku, ale nie jako niezależny badacz. Właściwe miejsce socjologów jest w większych, wyspecjalizowanych zespołach. Na takie zespoły stać niewiele przedsiębiorstw. Działacz związkowy z wykształceniem socjologicznym czy kadrowiec — na pewno tak, ale indywidualny badacz w każdym przedsiębiorstwie? Raczej wygląda to na okres przejściowy pracy chałupniczej, ale jako perspektywa to już chyba nieporozumienie.

Nowy Rok Kulturalny

30 września we Włoszczowej w woj. kieleckim zainaugurowany zostanie nowy rok kulturalny. Uroczystość centralną poprzedzą inauguracje nowego sezonu pracy placówek kulturalnych w poszczególnych województwach.

Do naczelnych zadań organizatorów pracy kulturalnej należeć będzie w pierwszym okresie nowego sezonu popularyzacja tematyki związanej z obchodami 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Hasłem wiodącym nowego roku kulturalnego jest dalsza realizacja uchwał Kongresu Kultury Polskiej. Zadaniem placówek kulturalno - oświatowych kraju jest m. in. współdziałanie z władzami oświatowymi i szkołami, zwiększenie zakresu współdziałania placówek oraz współpracy placówek z instytucjami artystyczno - widowiskowymi. Do głównych zadań nowego sezonu w miastach należy współdziałanie ze związkami zawodowymi i zakładami pracy oraz organizacjami społecznymi, m. in. w tworzeniu międzyzakładowych placówek kulturalnych oraz zakładanie klubów pracy kulturalnej, zwłaszcza w spółdzielczych osiedlach mieszkaniowych. Na wsi organizatorzy pracy kulturalnej muszą przede wszystkim zwrócić uwagę na maskymalne wykorzystanie klubów i innych placówek w działalności wychowawczej w myśl ogólnokrajowego założenia zwiększenia sprawności istniejących placówek i zapewnienia im warunków do jak największego oddziaływania. Wiele uwagi poświęcą placówki pozyskiwaniu do współpracy społecznego aktywu kulturalnego, specjalistów z różnych dziedzin i młodzieży.

Do czołowych zadań placówek w nowym sezonie należy m. in. upowszechnianie literatury społeczno - politycznej, popularnonaukowej i fachowej, popularyzacja głównych problemów politycznych, gospodarczych i kulturalnych współczesnego świata i głębsze powiązanie placówek kulturalno - oświatowych ze sprawami ich środowiska. Placówki zobowiązane są starannie dobierać popularyzowane treści pod względem ich wartości wychowawczych.

Jak zwykle z okazji inauguracji nowego roku pracy kulturalnej oddane zostaną do użytku nowe placówki i zainicjowane różnego rodzaju konkursy.

●

W ub. roku działało w kraju 19 wojewódzkich domów kultury, 227 powiatowych oraz 87 miejskich i dzielnicowych. Instruktażem pracy kulturalno-oświatowej zajmowało się 276 poradni. Liczba placówk wiejskich różnego typu (kluby „Ruch", kluby rolnika, świetlice itp.) wynosiła w ub. r. do 13 760.

Związki zawodowe dysponowały w ub. r. 10 045 placówkami kulturalno-oświatowymi (298 domów kultury, 2 545 klubów, 7 202 świetice), 1 281 kinami, 5 127 bibliotekami, 5 104 punktami bibliotecznymi oraz 1 711 czytelniami. W placówkach kulturalno-oświatowych związków zawodowych działało 11 349 zespołów oświatowych (ponad 342 tys. uczestników zajęć) oraz 9 469 amatorskich zespołów artystycznych (przeszło 148 tys. członków).

Popularny „pan na Łańcucie" — dyrektor Antoni Duda-Dziewierz. *Fot. M. KOPEĆ*

Oazy nowoczesnej turystyki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Pamiętamy liczne i dość burzliwe dyskusje na temat cerkiewek rozsianych po Bieszczadach. Zabytki bezsprzeczne. Zostawić je na swych miejscach znaczy skazać na zagładę. Zwyciężyła koncepcja utworzenia skansenu budownictwa cerkiewnego w różnych punktach małej i dużej obwodnicy bieszczadzkiej. Grupy cerkiewek wyposażone w zabytkowe ikony pełnym splendorem wnętrz przyciągać będą swym pięknem każdego, kto w ten rejon trafi i popularyzować będą wiedzę o starym malarstwie i sztuce Wschodu, która nadal cieszy się ogromnym zainteresowaniem koneserów i ludzi wrażliwych na piękno w ogóle. W sąsiedztwie cerkiewek powstaną motele, kampingi, parkingi i stacje benzynowe. Obwodnica piękniejszej oprawy otrzymać już nie może! A ikony odrestaurowane i zakonserwowane nie będą zalegać magazynów, lecz służyć popularyzacji kultury i sztuki.

Kierunek wykorzystania obiektów zabytkowych Rzeszowszczyzny został zaakceptowany. Teraz czas na podział ról wśród kontrahentów: kulturę, sport, turystykę i życzenie: Do dzieła, niech martwe obiekty zabytkowe ożywi tłum ludzi spragnionych wypoczynku i pragnących pogłębiać swą wiedzę o kraju ojczystym i dorobku kultury człowieka.

Józef Półćwiartek

Jeszcze o wychowaniu

Wprowadzenie do szkół podstawowych nauki wychowania obywatelskiego wyraźnie sprecyzowało całokształt pracy wychowawczej zakładów szkolnych, mocniej uwypukliło rolę w tym zakresie przedmiotów humanistycznych, a szczególnie historii najnowszej. Wielka akcja zainicjowana w związku z tym rozważana jest gruntownie przez ogół nauczycieli. Szczególnie dyskutuje się tę problematykę w zakładach kształcenia nauczycieli przygotowujących kadry realizatorów tego przedmiotu tak mocno powiązanego ze współczesnym życiem. To właśnie głębokie powiązanie z dniem dzisiejszym stwarza przed szkołą ogromny wachlarz możliwości realizowania problematyki programowej, a zarazem piętrzy szereg trudności i przeszkód, które jedynie zostaną w pełni przezwyciężone przez nauczyciela głęboko zaangażowanego. Mówi się o odrębnej specyfice tego przedmiotu w naszym szkolnictwie, odbiegającej nawet mocno od specyfiki nauk historycznych. Tej to właśnie wyjątkowej specyfice wychowania obywatelskiego i sylwetce nauczyciela realizującego ten przedmiot pragnę poświęcić kilka uwag.

Przygotowanie ucznia do czynnego udziału w życiu społecznym, między innymi poprzez rzeczowe tłumaczenie zaistniałych zmian przez wskazywanie dróg polepszenia życia, nie zaś „lakierowania rzeczywistości", wymaga od nauczyciela bardzo przemyślanej i sumiennej postawy, szczególnie gdy konfrontujemy idealny model z życiem. Obarczanie odpowiedzialnością za odpowiedni profil moralno-polityczny przyszłego obywatela tylko nauczyciela realizującego przedmiot wychowanie obywatelskie jest wręcz nie do pomyślenia. Niemniej rola jego jest szczególnie wyrazista w całokształcie pracy szkoły. W tym właśnie duchu pomyślano o szczególnej randze nowego przedmiotu, którego prawidłowa realizacja musi odbywać się w powiązaniu z całością pracy dydaktyczno-wychowaczej szkoły realizowanej na zajęciach lekcyjnych, pozalekcyjnych i pozaszkolnych. Sposoby realizacji zamierzeń szkoły są tak szerokie i tak odmiennie realizowane, głównie w zależności od specyfiki danego środowiska, że można je pominąć w niniejszych ograniczonych przecież rozważaniach.

Ponieważ wychowanie obywatelskie prowadzą głównie historycy jako najbardziej predysyponowani do tego zadania nasuwa się szereg uwag o ich pracy. Utarło się zdanie i chyba nie pozbawione zupełnie słuszności, że przedmioty te „leżą" w szkołach, że młodzież nie chce się uczyć historii, że szczególnie źle jest pod tym względem z hitorią najnowszą i wychowaniem obywatelskim.

Szereg osobistych spostrzeżeń niewątpliwie zgodnych jest z wyżej przytoczoną opinią, ale nie zawsze jest tak źle. Różne są przyczyny tej nie najlepszej sytuacji i nie zawsze uzależnionej od wiedzy i osobowości nauczyciela. Stawianie znaku równości między dobrym nauczycielem i dobrymi wynikami nie jest słuszne. Faktem jest, że w realizowaniu materiału nauczyciel napotyka szereg trudności. Brak w dalszym ciągu odpowiednich pod każdym względem podręczników, pomocy naukowych, wiele systematycznych wydawnictw odnośnie współczesnych wydarzeń ukazuje się z opóźnieniem, istnieją wśród niektórych jednostek uprzedzenia do nowej rzeczywistości — wszystko to w sumie utrudnia realizację zadań programowych wychowania obywatelskiego.

Nie znaczy to jednak, że brakuje materiałów o problemach ostatniej wojny i przemian w kraju oraz w świecie powojennym. Dobra litratura, dobry film, publicystyka, spotkania z kombatantami, opieka nad grobami żołnierzy, partyzantów, bojowników o społeczne wyzwolenie, wycieczki itp. środków ralizacji programu nie brakuje. Jednak dobrego podręcznika, a przede wszystkim nauczyciela w pełni oddanego naszej rzeczywistości, rozumiejącego dzisiejszą młodzież, nie zdołają zastąpić żadne środki przekazywania wiedzy o społeczeństwie. Podręczniki niestety w dalszym ciągu o wielu sprawach ostatniej wojny i przemianach powojennych mówią jedynie skrótowo. Młodzież nie znajduje w nich odpowiedzi na wiele istotnych spraw. Często lepiej zna odległe czasy pierwszych Piastów niż okres zmagania się z hitlerowskim najeźdźcą i trudne, ale jakże heroiczne pierwsze lata powojenne.

Jakże często z ubolewaniem stwierdza się, iż nawet młodzież pomaturalna nie może czegoś więcej powiedzić, co kryje się za skrótami AL, BCh, NSZ, WiN, czy kryptonimami „Akcja Burzy", „Wachlarz", „Lew Morski", „Fal Wais" itp. Szczególnie przy omawianiu problematyki okupacji i genezy Polski Ludowej wyłania się wiele problemów wymagających od nauczyciela wielkiej sumienności. Tłumaczenie np., że AK jako najliczniejsza organizacja w podziemiu w niczym nie deprecjonuje Polski Ludowej nie może w pełni zadowolić. Dopiero analiza działalności różnych ugrupowań, ich programu, wskazanie właściwej drogi politycznej, znajomości faktów często bolesnych, może doprowadzić do obiektywnego poglądu, jak w rzeczywistości układała się sytuacja i kto w ostatecznym rozrachunku miał rację. Rzetelna wiedza i tylko ona może wyeliminować plotki zasłyszane w różnych okolicznościach, gdy operujący nimi nie zawsze umieją skojarzyć trudny mechanizm życia w podziemiu, tragedie walczących partyzantów w różnych ugrupowaniach.

Z młodzieżą współczesną nie można mówić za pomocą sloganów. Życie niejednokrotnie przekonywało i przekonuje o tym. Potrzebne są dla jej rozwoju, do kształtowania jej politycznej postawy nie tylko piękne a prawdziwe filmy, rzetelne i wszechstronne podręczniki, ale przede wszystkim zaangażowani nauczyciele. To nieprawda, że w okresie życia starszego dziś pokolenia mówi się u nas za dużo. Jest publiczną ta-

Krystyna Świerczewska

Okrucieństwo dla okrucieństwa

Literatura przyzwyczaiła nas do okrucieństwa. Ale takiego okrucieństwa, które nie jest przeciw człowiekowi i z którego wynurzają się nowe etyki. W każdym innym przypadku, kiedy mamy do czynienia li tylko z analizą pojęcia, kiedy nic z demonstracji okrucieństwa nie wynika, kiedy staje się ono nagim faktem lub pretekstem do zabawy — musi budzić protesty.

Znamy egzystencjalizm i jego skłonności ku okrucieństwu; w „Drogach wolności" jest wiele momentów okrutnych, niestrawnych nawet, podporządkowanych jednakże myśli przewodniej, że nie śmierć się liczy, lecz wolne życie i swobodny wybór tej wolności; znamy dürenmattowskie bajki okrutne, podporządkowane potrzebie życia moralnie czystego; znamy okrucieństwo wynikłe z samotności, w którym pogrążony jest teatr Becketta; nawet papież zła — Jean Genet, zakochany w makabrze jest okrutny, bo zła nienawidzi. Za każdym rodzajem więc okrucieństwa stoją konkrety filozoficzne. Po co jest okrutny Janusz Krasiński w „Czapie" — nie wiem. Bo nie mogę przypuścić, że tylko dla zabawy. Bo żadnych ukrytych sensów, podwójnych znaczeń czy moralnych celów jakoś trudno mi się było dopatrzyć w tej pomysłowej historyjce, która mogłaby być bardzo purnonsensowa, gdyby nie była tak przejmująco realistyczna. Mam więc do „Czapy" stosunek jednoznacznie negatywny; denerwuje mnie jej pozorny liryzm, drażni dowcip tam, gdzie on najmniej stosowny, szkoda mi nerwu dramatycznego autora, który pobłyskuje w tej ponurej całości zupełnie wyraźnie. Krasiński bowiem umie budować sztukę, zna wymogi sceny, zna skomplikowaną grę napięć, kapitalnie potrafi konstruować dialogi. Dlatego tym gorzej, że wyposażając „Czapę" w pozytywne przymioty formalne, zamknął w niej treść amoralną.

Nic i nikt nie jest w stanie mnie bowiem przekonać, że opowieść o ostatnich dniach życia jednego debilowatego cwaniaka i drugiego zimnie kalkulującego mordercy — to opowieść o lirycznych przestępcach, jak to z wdziękiem wyjaśnia autor w krótkiej notce do „Czapy", dając im przy tym własne błogosławieństwo na wieczne życie. Tyle tam liryzmu — co trucizny w zapałce, a jeżeli są sytuacje, że prowokuje się nas do żalów nad losem Kuźmy i Olesia — to widzę w tym tylko przewrotność. To, że Kuźma i Oleś nabili trupa co niemiara, jakoś nam autor skrzętnie uprząta z uwagi, podsuwając patetyczną formułę o życiu — co — jest — największym — dobrem i niemal każąc nam żałować skazanych na czapę, że to dobro odbierze im prawomocny wyrok. Skazani zresztą też są przeświadczeni o krzywdzie, jaka ich spotkała, dalej walą w łeb kogo się da, w końcu dostaje w łeb debilowaty cwaniak od tego wyrachowanego, i prawdopodobnie prokuratorowi też łeb pęknie od ilości śledztw, jakie prowadził w sprawie dwóch lirycznych morderców. Czyli seria trupów ma szansę się nie skończyć.

Mogłaby być zabawa? Mogła, tylko że z czego tu robić zabawę? Z tego życia, co tak kruche? Z okrutnej sytuacji, która jest karą — co prawda niedoskonałą jak każda kara śmierci, ale nic doskonalszego nie wymyśliło wiele prawodawstw świata.

Często w odniesieniu do „Czapy" słyszy się termin „makabreska". „Wizyta starszej pani" też była makabreską — tyle że w „Wizycie" chodziło o ocalenie człowieczeństwa; w „Czapie" to człowieczeństwo jest nieobecne.

Jerzy Wasiuczyński zrobił „Czapę" w Teatrze Ziemi Kieleckiej bardzo naturalistycznie. Spektakl był groźny i śmieszny zarazem. Teatr wyjaskrawił wtedy okrucieństwo do maksimum. Świeżo jeszcze pamiętamy ten spektakl, bo wchodził w skład repertuaru zeszłorocznych spotkań teatralnych. Ten sam reżyser, ten sam scenograf — **Jan Golka** przenieśli spektakl „Czapy" do Teatru im. W. Siemaszkowej.

Nie ma w nim naturalizmu, jest wyraźna chęć przekształcenia „Czapy" w makabryczną zabawę. Pewnie to lepiej, bo trochę złagodziła ta inscenizacja właśnie okrucieństwo i teatr narzucił widzowi zupełnie wyraźny dystans do opowieści.

Bardzo trudno jest oceniać wysiłek teatru, jeżeli nie ceni się sztuki przezeń wystawionej. Podważa to bowiem sens wysiłków, kiedy człowiek pyta „po co nam to było?". Ale spróbuję.

Wasiuczyńskiemu więc wdzięcznam za ten dystans, za wysiłki zmierzające do purnonsensowej zabawy. Przesunęło to trochę punkt ciężkości z Olesia i Kuźmy na samotnego Kuźmę, którego oglądamy jako zło w stanie czystym. Gapowaty Oleś jako instrument wykonawczy jest bowiem żałosny i tak go zagrał **Adam Fornal**. Właściwie została z tego cwaniaka biedna kreatura, bezmyślna i z góry przeznaczona na ofiarę.

Kuźma **Zdzisława Kozienia** jako cyniczny kalkulator, inspirujący zbrodnie, tak bardzo przejął się złowrogą rolą, że zapomniał o całej skali środków aktorskich, jakimi mogłoby się ją oddać. Był tak demonicznie zły, że aż nudny. Celebrował kwestie, bo nie znalazł widać powodu do cienkiej drwiny, persyflażu, który akurat w tym wypadku byłby zbawienny i lepiej przystawał do zamysłów Wasiuczyńskiego, żeby z „Czapy" rzeszowskiej zrobić okrutną bajkę, choć bajkę dalej bez morału (za co już winić należy tylko autora).

Reszta ról w „Czapie" to już małe demonki zła: dobroduszny strażnik **Franciszka Buratowskiego**, który podpowiada, gdzie by szukać trupa, skazaniec **Jana Adamskiego**, który akceptując kuźmowe racje sam zagrożony i **Wincenty Zawirski**, który się tak demonicznie uśmiechał, że miało się ochotę zapytać po cichu: czyś ty bracie czasem też nie z profesji Kuźmów?

Olesia, jak wspomniałam, granego bohatersko po 7 próbach przez Adama Fornala, przygotowywał wcześniej **Witold Gałązka**. Nie widziałam, niestety, Gałązki grającego, czego żałuję naturalnie, bo znając nieco możliwości komediowe tego aktora, można chyba przypuszczać, że jego Oleś miałby więcej momentów komediowych. Ale to już jest supozycja bardzo retoryczna.

Scenografię do rzeszowskiej „Czapy", jak już napisałam, przygotował Jan Golka. Przygotował, w tym przypadku znaczy przeniósł dosłownie ze spektaklu kieleckiego. Ze zmian pozytywnych warto wspomnieć, że intermedia wypełniała w miejsce niesamowitych dźwięków spektaklu kieleckiego urocza piosenka z Kabaretu Starszych Panów o odrażającym drabie.

Na koniec zaś umieszczę jeszcze jedno pytanie: czy „Czapa" nie mogłaby być nieco krótsza, nie mogłaby zgrabniej uniknąć pewnej monotonii scen, a które a priori zakłada sztuka, ale której teatr wszak nie musi być arcywierny?

Teatr im. W. Siemaszkowej: Janusz Krasiński — „Czapa" czyli śmierć na raty. Reżyseria: Jerzy Wasiuczyński. Scenografia: Jan Golka. Opracowanie muz.: Mirosław Niziurski. Asystent reż.: Franciszek Buratowski. Osoby: Zdzisław Kozień, Adam Fornal, Witold Gałązka, Franciszek Buratowski, Jan Adamski, Wincenty Zawirski. Premiera 7 września 1967 r.

obywatelskim

jemnicą, że w państwach w których padło mniej ofiar niż w Polsce, mówi się o walce narodowo-wyzwoleńczej znacznie więcej. Wystarczy jedynie przytoczyć przykład Jugosławii, gdzie do dziś z pełnym skutkiem eksploatuje się obfitą problematykę partyzancką i okresu budowy podstaw socjalizmu.

Rzetelne przygotowanie uroczystości wielu rocznic i świąt narodowych, praca w organizacjach młodzieżowych, udział w akcjach środowiskowych, to dobra szkoła życia. Niech młodzi ludzie mówią do młodych, to z pewnością lepiej trafia do przekonania. Młodzieży takiej trzeba niewątpliwie pomóc, pokierować nią. Doświadczenia kierowniczo-organizatorskie przychodzą na ogół dopiero z wiekiem. Młodzież nasza jest w ogromnej większości wysoce patriotyczna i ofiarna, w pełni oddana nowemu życiu. Zdarzają się jednak przypadki w pewnych środowiskach, które winny być dzwonem alarmowym, że dzieje się źle. Nastroje wśród dzisiejszej młodzieży, przechodzące i zmienne gusty tych, którzy już niebawem staną się pełnoprawnymi obwatelami, winny być brane pod uwagę przez nauczyciela wychowania obywatelskiego.

Dobry nauczyciel w pełni rozumiejący istotę nowego przedmiotu, rozumiejący dobrze intencje zawarte w lakonicznych sformułowaniach programu tej specjalności, a przede wszystkim gorący patriota oddany w pełni socjalizmowi, aktywny przy tym społecznik w swoim środowisku, jest zasadniczym i najważniejszym czynnikiem powodzenia w realizacji wychowania obywatelskiego. Nauczyciel taki rozumie, że nie represje wychowawcze mają nakłaniać uczniów do nauki i obierania odpowiedniej drogi życiowej, lecz dostarczenie tej młodzieży jak najwięcej przeżyć patriotycznych i obywatelskich, zapalenie w jej sercach miłości do socjalistycznej ojczyzny, szacunku do pracy i człowieka pracy. I tędy chyba prowadzić powinna właściwa droga, droga przez uczucie i serce wychowanka do jego wiadomości rzeczowych i aktywności społecznej. W tym też tkwi zasadnicza specyfika przedmiotu wychowania obywatelskiego i źródło powodzenia pracy pedagogicznej.

Sytuacja w dziedzinie nauczania przedmiotu wychowania obywatelskiego tak w szkolnictwie podstawowych, jak i średnim ulega ciągłej poprawie, stosunkowo jednak za powolnie w szkolnictwie podstawowym. Brak specjalistów od tego przedmiotu powoduje przypadkowość w obsadzie godzin lekcyjnych. W związku z tym warto się zastanowić gruntownie, dlaczego w Studium Nauczycielskim w Przemyślu jedynym zakładzie w naszym województwie przygotowującym kadry specjalistów wychowania obywatelskiego dla szkolnictwa podstawowego odbywa się nabór kandydatów co drugi rok.

WIELCE SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Miło mi było odnotować fakt pojawienia się Pańskiego artykułu pt. „Lekcja mądrej przygody" („Widnokrąg" nr 37) traktującego o wychowaniu obywatelskim. Przekonany jestem, że nauczyciele uczący tego przedmiotu i zapewne nie tylko oni przestudiowali interesującą Pańską wypowiedź, bo przecież tak mało pisze się o tym przedmiocie nie tylko w „Nowinach Rzeszowskich" (a szkoda!), ale i prasie pedagogicznej. Wcześniejsza moja praca w zakładzie kształcenia nauczycieli o tej specjalności i realizowanie ze słuchaczami tej właśnie dziedziny, skłoniły mnie do kilku uwag o tym przedmiocie, które do niniejszego pisma dołączam. Byłoby mi niezmiernie przyjemnie, gdyby Pan Redaktor spowodował ich ogłoszenie na łamach „Widnokręgu". A może by tak zachęcić nauczycieli do dyskusji nie tylko o wychowaniu obywatelskim, ale w ogóle o pracy wychowawczej we współczesnym rzeszowskim (i nie tylko) szkolnictwie?

Łączę wyrazy szacunku i poważania dla Pańskiej Osoby.

dr JÓZEF PÓŁCWIARTEK
Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie

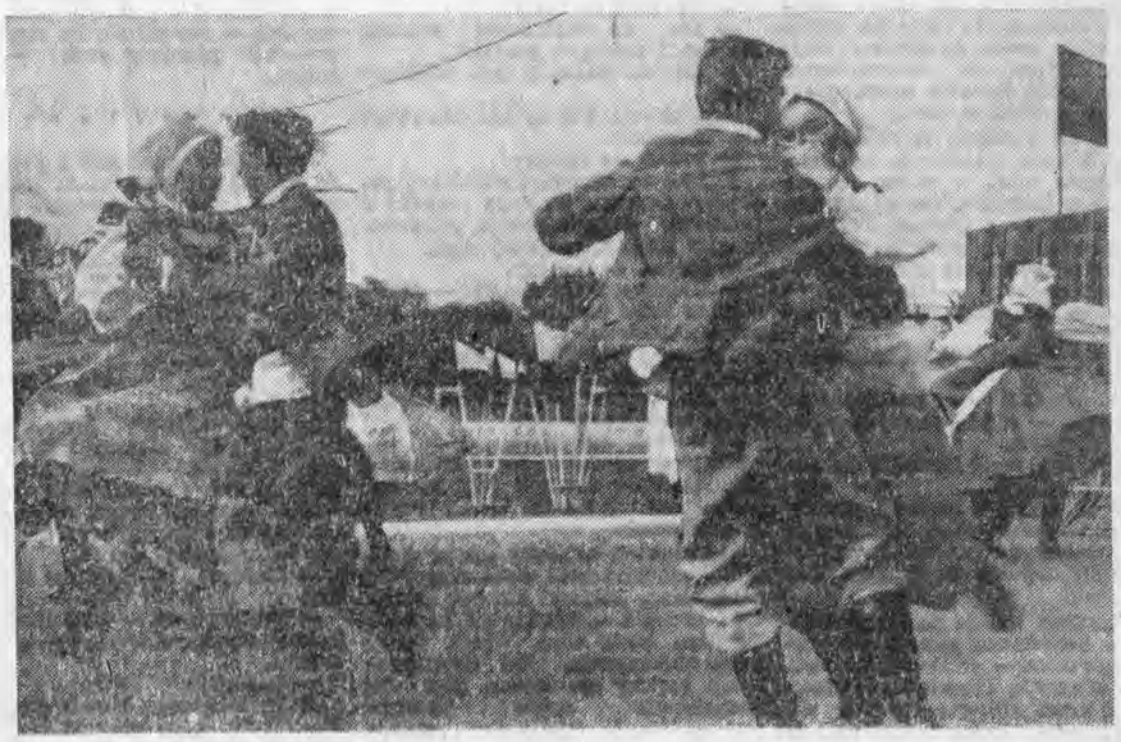

Tańczą „Rzeszowiacy" z Mielca

„Rzeszowiacy" przed daleką podróżą

Belgrad, Nowy Sad, Subottica, Banjo Luka — oto trasa artystycznego turnee, w jakie wybiera się Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy", działający w Zakładowym Domu Kultury WSK Mielec.

Jest to wyjazd zagraniczny w ramach bezdewizowej wymiany. W lipcu br. mielczanie gościli u siebie jugosłowiański zespół „Pajo Kolarić" z miasta Osijek, leżącego na żyznej równinie Sławonii. W październiku „Rzeszowiacy" rewizytują przyjaciół nad Adriatykiem.

Kontakty te nawiązywało kierownictwo ZDK, są one rozszerzane na inne dziedziny. Do Jugosławii wyjeżdżają mieleccy sportowcy, a w przyszłym roku w jugosłowiańskich kurortach odpoczywać będzie kilkudziesięciu pracowników WSK. I też na zasadzie bezdewizowej wymiany. Jugosłowianie rezerwować będą swe siły w Krynicy, w domu wypoczynkowym WSK.

Wróćmy jednak do „Rzeszowiaków". Występy zespołu „Pajo Kolarić" przyjmowane były w Mielcu bardzo serdecznie. Jugosłowiańscy goście zaprezentowali bowiem całą krasę słowiańskiego folkloru. Podobały się tańce, piosenki, melodie...

Mielczanie nie chcą więc być gorsi. Na wyjazd, który nastąpi już w poniedziałek 2 października br. zapracowali naprawdę solidnie. Przez dwa i pół miesiąca prawie codziennie odbywali próby. Nawet w niedzielę. Próby przeciągały się nieraz do późnych godzin nocnych. Tancerze padali ze zmęczenia. Wokalistom nie starczało sił na wielokrotne powtarzane poszczególnych fragmentów. Nawet smyki na strunach ze zmęczenia zaczynały skrzypieć — powiadają członkowie orkiestry.

Kierujący przygotowaniami byli jednak nieubłagani. Chcecie jechać, musicie dobrze śpiewać, grać, tańczyć — argumentowali.

I oto pierwszy koncert nowego programu przygotowanego na jugosłowiańskie turnee wykazał, że trud się opłacił! Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowiacy" reprezentacyjny zespół Związku Zawodowego Metalowców — odniósł kolejny artystyczny sukces. Jakolwiek przed wakacjami odeszło z zespołu dziewięć osób (studia, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk", to jednak wszytkie te luki zostały wypełnione. Chór jest w dobrej formie, zespół taneczny bardzo dobry technicznie. Podobają się piosenki inscenizowane, efektowne w wyrazie artystycznym.

Reżyserem nowego programu jest Zbigniew Krzywiński, opracowanie muzyczne Janusza Meysa, choreografia Kazimierz Rędzisz, chormistrz — Jerzy Kopcewicz. W tym miejscu należy również wymienić nazwisko inspiratora tych wszystkich poczynań. Jest nim kierownik ZDK — Franciszek Duszlak.

„Rzeszowiacy" znów podbili serca swych sympatyków. Życzymy, by podbili również serca jugosłowiańskiej publiczności naszymi polskimi tańcami, piosenkami i melodiami.

Osobiście wierzę, że to im się z pewnością uda, o czym nie omieszkam poinformować Czytelników „Widnokręgu".

J. WOŹNIAK

JAN ŁYSAKOWSKI

STRAŻNICA W GÓRACH

Od paru dni wiał południowy wiatr. Kołysał gałęziami drzew, szarpał słomiane strzechy, gwizdał w kominach. Biała warstwa śniegu przysiadła, pociemniała. Gdzieniegdzie przebijała się już żółta, zduszona trawa. Potem lunął deszcz, śnieg rozmiękł ostatecznie i świat zamienił się w grząskie bajoro.

Obudzenie przyszło nagle. Jeszcze nie otwierał oczu, leżał nieruchomo. Odtwarzał sobie w myśli rozkład izby. Jego izby, dowódcy strażnicy. Obok zbite z desek wyrko podporucznika Piegdonia. Poszedł już, ale zostawił zmierzwione koce i brudne onuce. Dalej stół... Na pewno jeszcze nie sprzątnięty od wczoraj. Gwoździe wbite w ścianę i na nich zawieszone płaszcze. Nisko zwisa belkowanie sufitu, przez małe okienko skąpo sączy się pochmurny, zapaćkany dzień. Porucznik leży bez ruchu zasłuchany w bolesny ucisk głowy. Zna ten stan, ale zawsze z trwogą stwierdza jego objawy.

— Stąd te nocne majaki — pomyślał.

Spał źle... Wprawdzie trochę wypili, ale to nie powód. Tymczasem opadły go jakieś zwariowane sny. Maszkary, przeróżne zjawy, potwory. Uciekał, pocił się z bezsilności, niezdolny do ruchu, działania. Teraz głowa nieomal pękała z bólu. Czuł ociężałość, bezwiad. Najchętniej by wtulił głowę w poduszkę, zapomniał o wszystkim.

Pierwsze spojrzenie jak zwykle w okno. Beznadziejna szarość. Niskie chmury zdawały się ślizgać po pagórkach. Zwisały ołowianym dachem, przytłaczały.

— Jestem chory — powiedział półgłosem — mam gorączkę...

Nie czuł najmniejszego pociągu do wstawania z łóżka. W sąsiedniej izbie rozmawiano. Głosy stłumione, jakby gdzieś z głębi. Te głosy przypominały jednak sprawy dnia powszedniego. Porucznik leżał jeszcze, ale myśl już pracowała.

— Konie... Czy jeszcze raz przeszukiwać wieś, rekwirować owies? Trzeba zwolnić od służby Barana. Niech reperuje buty...

Wynajdywał coraz to inne kłopoty: bielizna, jedzenie, smar do broni... Świadomie omijał najgorszy. Czuł jego istnienie tak, jak się czuje obolałe miejsce. Na razie nie dokucza, ale nie wolno go dotykać. Jednak nic nie pomoże okłamywanie samego siebie. Sprawa wraca uparcie, odsuwa inne w cień...

Zrywa się z łóżka. Na chwilę zapomina o bólu i niemocy. Spodnie, buty, zimna woda w misce. Jeszcze rzut oka w lusterko. Patrzy z niego twarz szara, oczy podbite zwisającymi woreczkami, policzki wpadłe, najeżone kilkudniową szczeciną.

— Jestem chory — stwierdza to jednak już bez poprzedniego przekonania.

Do izby wszedł wysoki, niemłody żołnierz.

— Już wstali? — zaciągnął po kresowemu — a ja przyszywszy do munduru guzik...

— Dobra, stary... Dawaj... Co nowego?

Stary wydostał z kieszeni płaskie pudełko i zaczął robić pokaźnego skręta. Podał go porucznikowi. Odezwał się dopiero wtedy, gdy obaj już zapalili.

— Jaskółka kuleje na lewą tylną nogę — pogadywał powoli zaciągając się dymem — paliło się gdzieś... Jakby w stronę Prysłupia... Chłop robi się coraz gorszy... Jeden się wczoraj wygrażał, że niedługo tu waszego panowania...

— I co?

— Był tam kapral Budny. Chłopu baba teraz robi okłady...

Porucznik już się nie śpieszył. Usiadł na stołku, opuścił głowę. Słowa starego przypomniały: zarośnięci, brudni żołnierze, przez podarte mundury widać czarną jak ziemia bieliznę, sparszywiałe konie, a raczej ich szkielety, nędza zagnojonych chałup, zawszeni, mrukliwi chłopi. Nie ma co jeść, nie ma co palić, nie ma lekarstw, bandaży, jodyny. Ciężko nie do wytrzymania...

Stary uważnie przyglądał się dowódcy. Chwilę myślał, a potem powiedział cicho:

— Plutonowy Grzyb od świtu kręcą a kręcą...

— Co mówisz?

— Plutonowy Grzyb...

— Dobrze...

Porucznik zaciąga mocno pas, nasadza czapkę. Wychodzi szybko z izby. Stary patrzy za nim, pomrukuje pod nosem. Wreszcie kiwa głową i zabiera się do sprzątania.

. . . . . .

W ziemiance cekaemistów wstano dość późno. Już dawno było po śniadaniu, gdy pierwszy podniósł głowę Szydlak. Chwilę skrobał się za uchem, kaszlał i spluwał. Potem budzili się inni. Klęli, ziewali z rozgłośnym trzaskaniem chrząstek. Któryś poszedł po kawę i zaczynał się dzień.

— Teraz czyścimy broń! — komenderował kapral Kuzimor — każdy łapie się za swoją część...

— Ciekawe, kiedy kapral ogłosi, że trzeba łapać za zwolnienie do cywila...

— A to się Wielgoszowi zachciało!

RYS. J. SIENKIEWICZ

— Pilno ci do baby?

— Idź do Stefanowej wdowy. Jeszcze i samogon postawi...

— On do łóżka, a tam banderowiec...

— Ciekawe, kto by był pierwszy? Co, Wielgosz?

— Idźcie do cholery!

Kapral nie słuchał żartobliwej gadaniny. Otwiera po kolei pudełka z taśmami. Ogląda naboje, przesuwa między palcami parciany wąż.

— Mało... — mruczy.

— Byłem u szefa nie dał — amunicyjny kręci smętnie głową — kazał oszczędzać...

Trzasnęły drzwi ziemianki. W progu stał dziobaty podoficer.

— No, co jest? Dlaczego nie zmieniacie swój posterunek?

— Zaraz... Już idzie...

Kuzimor wychodzi przed ziemiankę. Ostrożnie ustawia nogi na kawałku suchej ziemi. Wodzi wzrokiem dookoła.

— Człowiek tu siedzi jak w studni — powiada ktoś obok niego. To celowniczy, starszy strzelec Rosół.

— Ano tak — zgadza się kapral...

Patrzą teraz obaj. Widok znany aż do obrzydzenia. Od Czechosłowacji piętrzy się lesista góra. Jej rozciągnięty tułów poorany zmarszczkami wąwozów zamyka widnokrąg jakby ścianą. Z drugiej strony też góra. Obie jak obcęgami uchwyciły wioskę. Przypadła ona do potoku, rozciągnęła się. Chałupy stawiane gdzie się da, byle trochę równego. Powstał z tego długi wężyk przetkany drzewami, spuchnięty w środku kopułą cerkwi, zamknięty na końcu ryglem strażnicy.

Tkwiła ona w gliniastym polu jakby zamazana błotem, przygarbiona, chora. Parę niskich chałup, dawno nie bielony chlew, wozy pod szopą, ziemianki z liszajami strzelnic. Wąski dymek kuchni dawał znak, że to kretowisko opasano wężem okopu, żyje jednak i jest ludzkim siedliskiem...

Środkiem idzie porucznik Wolak, podporucznik Piegdoń i czarny, nie duży sierżant Browarek. Cekaemiści łapią urywek rozmowy.

— Tak więc liczę, że przejdzie... Ja bym sam — Piegdoń jest trochę zgorączkowany. Machą rękami...

— Ryzyko... — Wolak powiedział coś jeszcze, ale nie usłyszeli. Za to doszedł ich wyraźny, mocny głos Piegdonia:

— Grzyb ostatecznie rozłożył ręce... Nic nie robi...

Poszli dalej. Rosół westchnął ciężko, splunął.

— Źle... I co teraz będzie? — pytał niby kaprala, ale w gruncie rzeczy zbierał swe niespokojne myśli — chyba przyjdzie zginąć w tej parszywej dziurze...

Urwał nagle pod ciężkim spojrzeniem kapralskich oczu.

— Ty... — powiedział cicho Kuzimor — milcz... Coś słyszał, to słyszał, ale gadać nie wolno...

— Eh, kapralu, was zaraz złość chwyta... Żyć się chce...

— Chce, prawda — zgodził się nagle kapral — jeszcze jak... Co myślisz — obrócił się do ziemianki, postawił pierwszy krok — ale milcz...

. . . . . .

Oficerowie zawrócili z powrotem do chałupy. Wolak szedł pierwszy. Wsadził ręce w kieszenie spodni, zagryzał wargi. Nagle stanął i obrócił się do szefa.

— Jaskółkę dostrzelić... Nie mogę patrzeć jak się zwierzę męczy... Wezwać sołtysa... Poślij żołnierzy...

Weszli do sieni. Stał tam wąsaty.

— Kawa dawno wystygła — gderał — chodzą i chodzą, a zjeść to niby kiedy?

— Wołaj Grzyba. Wolak wszedł do izby, zdjął czapkę. Usiadł przy stole i palcami wybębniał jakiś takt. Piegoń chodził wolno z kąta w kąt. Wreszcie zjawił się plutonowy. Niski, szczupły, wsunął się cicho i stanął obok drzwi.

— Melduj... — odezwał się Wolak.

— Próbowałem — plutonowy popatrzył na swe czerwone ręce — nic z tego...

— Baterie?

— Wyczerpane... Nawet nie złapią Komańczy, a co dopiero batalion...

— Więc?

— Obywatelu poruczniku, radiostacja nie może być uruchomiona...

Wolak dźwignął się ciężko ze stołka, szurając nogami podszedł do plutonowego.

— Czy ty wiesz co to znaczy? — zajrzał mu w oczy — czy rozumiesz? Tu się decyduje los strażnicy, a ty...

Piegdoń znieruchomiał koło stołu, patrzył. Dowódca miał twarz ściętą w jakimś grymasie napięcia, wściekłości czy groźby. Plutonowy nagle szarpnął głową. W oczach miał łzy.

— To ja pójdę... — powiedział cicho.

— Gdzie?

— Po baterie...

— Gdzie?!

— Do batalionu...

Wolak odsunął się, poszedł z powrotem. Usiadł przy stole, podparł głowę rękami. Piegdoń kiwnął na plutonowego.

— Idź — powiedział cicho — na razie nie jesteś potrzebny.

Wrócił zaraz na swoje miejsce przy oknie. Poruszał się cicho, zręcznie. Co chwilę zerkał w stronę dowódcy. Za ścianą rozmawiano, ktoś chodził stukając ciężkimi butami. Na podwórzu parskał koń. W izbie milczenie przytłaczało coraz bardziej swą niesamowitością. Piegdoń wiercił się, nie wiedząc jak zagadnąć dowódcę. Ten jednak przemówił pierwszy:

— Żreć nie ma co, ludzie ledwo ciągną nogami, mundury jak szmaty, buty rozpaczliwe, amunicji nie starczy nawet na jedną bitwę. W imię czego tu tkwimy? — podniósł wściekłe oczy, wpierał je w Piegdonia — może ty wiesz?

Sapał chwilę jakby zmęczony dźwiganiem tego ciężaru wiedzy o położeniu strażnicy. Po chwili mówił dalej:

— Sześćdziesięciu ludzi. Taki Kwolek ma czworo dzieci, Browarek też. Inni: żony, dzieci, rodziców. Chcą żyć. Myślisz, że tego nie widzę. Chodzi człowiek między nimi, a tu zewsząd spojrzenia: dowódco, poradź,..... jego mać, poradź, wyprowadź, jakieś mądry. A może ty masz jaką radę? — znów dyszał złością, szukając Piegdoniowego spojrzenia — a nie dziś, to jutro uderzą na pewno. Wiesz dobrze, że to podejrzany spokój. Będziemy się bronić może dzień, może dwa. A potem? Łączności nie ma. Może dowództwo dawno kazało wracać? Powiedzieli pięknie: waszym zadaniem jest ochrona granicy państwa. Rozkaz bojowy. Fikcja. Tu jest królestwo band. Tu trzeba nie sześćdziesięciu, ale całą dywizję. Czego milczysz? Czy nie widzisz, jak oni na mnie patrzą? Czy nie rozumiesz?

— Widzę, że przygotowałeś nawet wzruszającą mowę dla prokuratora.

— Człowiek żyje tylko jeden raz... Nie zapominaj o tym.

— Wystarczająco długo, aby stać się świnią.

— Nie strugaj wariata.

— Jesteśmy oficerami.

— Pocałuj mnie, wiesz. Mówię ci: nie strugaj wariata.

— Cóż, jesteś dowódcą, rozkazuj.

Wolak opiera głowę na dłoniach. Milczy chwilę.

— Z ciebie, bracie, to szczęśliwy człowiek — mówi wreszcie — wszystko ci łatwo przychodzi. Nawet na śmierć gwiżdżesz. Ja za to widzę ludzi.

Piegoń stał chwilę nieruchomy, zapatrzony w okno. Wreszcie obrócił się, podszedł do stołu.

— Tydzień temu miałem sen — powiedział głucho — ty przyjaciel, nie mam przed tobą tajemnic. Widziałem swego trupa. W błocie, bez butów, w taki dzień jak dziś. Zęby na wierzchu, krew. Ciało we krwi. I oni, Bagnetami, siekierą. Jak sobie przypomnę.

Dygotał cały. Głos mu drżał, rwał się, przechodził w szept. Wolak jakby nagle oprzytomniał, trzasnął pięścią w stół, zerwał się.

— Poruczniku Piegdoń!

Tamten patrzył nieprzytomnie, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Stańcie na baczność przed dowódcą!

Piegdoń opuścił ręce, ściągnął obcasy. Wolak stoi naprzeciw, dyszy. Wreszcie mówi cicho:

— No dobrze, Wacek, uniosłem się. Nerwy.

— Nic, napijmy się po szklaneczce.

Pukanie do drzwi. Wszedł wysoki, przygarbiony kapral.

— Jest sołtys — powiedział — przyprowadziliśmy.

— Dawaj go tu.

Zarośnięty chłop w poszarpanych portkach już od progu ściąga czapkę. Kłania się.

— Dzień dobry, panie poruczniku.

— Siadaj — mruknął porucznik — co nowego?

Sołtys siedzi trochę bokiem, z głową wtuloną w ramiona. Patrzy uporczywie w podłogę.

— Zaniemówiłeś? Trzeba nam owsa... Zresztą inne zboże też...

— Nie ma, panie... Wieś biedna. Chleba brakuje...

— Ale dla banderowców to jest?

— Co wy, panie? Dla jakich banderowców?

— Bujaj, sukinsynu, kogo innego... A dwa tygodnie temu ten wóz z żytem gdzie jechał?

Piegoń widać znudził się tą rozmową, bo ziewnął i ruszył ku drzwiom.

— Sprać by drania — powiedział jakby mimochodem — wtedy znajdzie... Trzasnął drzwiami. Sołtys patrzył za nim, potem obrócił głowę do dowódcy.

— Porucznik to lubi... Przedwczoraj o mało nie przyłożył popu...

— Do rzeczy — uciął Wolak — gadaj o owsie...

Chłop wstał powoli ze stołka, obejrzał się na drzwi i okno, potem przysunął się do porucznika.

— Panie poruczniku — mówił cicho, prawie szeptem — na co czekacie? Przecież was zniszczą...

Wolak zaciął usta, słuchał uważnie.

— Sołtysie, wy tak sobie, czy coś wiecie?

— Ludzie gadali...

— No, bez wykrętów... Bo inaczej...

— Cóż, wy straszycie, tamci straszą... Tu kula, tam stryk... Dziś, panie, być sołtysem to wrogowi nie życzę...

— Ludzi szkoda — gadał po chwili milczenia — to właśnie... Pewnie by woleli wrócić do domu... A tak...

— Mów!

— Ba, żebym to sam wiedział. Ot, łażą różni... Ale kto tam słucha? Wiadomo, ma taki karabin w garści i myśli, że cały świat jego. A my?

Chleba pilnujemy, żeby się urodził, bo trzeba jeść.... To taki jeden gadał, że strażnice rychło polecą...

— Kiedy?

— No rozum, panie, latem bedzie wam lekko wojować. Wyschnie, samochody dojadą. A teraz? Piechotą trudno... A do was wszystko trzeba dowieźć... Pomoc daleko. W Komańczy i to nie wiem. Baligród... Może Zagórz...

— Jasne... Dobrze, idźcie już, sołtysie...

— Do widzenia, panie dowódco... Jedno proszę: niech mnie odprowadzą do pierwszych chałup pod karabinem. Mogą tam szarpnąć trochę...

. . . . . .

W ziemiankach pełno dymu. Mokre drzewo ledwie się tli w piecykach. Chłopcy z pierwszego plutonu wyszperali w wiosce machorkę i teraz ćmią na potęgę.

— Co za cholera, że mnie warta tak często wypada — dziwi się nie duży, krępy Saban — końca nie ma...

— Gacek chory.... Trzeba było przesunąć...

— Chłopaki — mówi ktoś z kąta — jutro kulawy Szymon będzie pędził gorzałkę... Warto pójść...

Do ziemianki wciska się żołnierz. Długo obstukuje buty, ściąga płaszcz.

— Jak tam?

— Leje.... — poparł to mocnym przekleństwem.

— Cholera...

— Dowódca jeszcze chodzi — mówi żołnierz. Znów skrzyp drzwi. Sierżant Chrobot zagląda do środka.

— Pierwszy pluton, dziś pogotowie... Nie wolno się rozbierać, jedynie pas popuścić o dziurkę i broń przy sobie... Dowódcy drużyn, macie dopilnować...

Sierżant już zniknął za drzwiami, a ludzie jeszcze milczą. Patrzą po sobie poważnym, skupionym wzrokiem.

— No tak — powiada wreszcie któryś — to znaczy....

— Gówno znaczy... — ofuknął go kapral — czego zaraz takie miny stroicie? To przecież normalna, graniczna rzecz...

List z Wrocławia

Donoszę panie redaktorze, iż we Wrocławiu wszyscy garną się do nauki języków obcych, a zwłaszcza języka francuskiego. W Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy, lista kursu języka francuskiego dawno zamknięta. Nawet dotąd groźna konkurencja angielskiego teraz wysiada. To jak się chyba pan redaktor orientuje jest wynikiem pobytu generała de Gaulle'a w Polsce. Trochę kłopotu jak zwykle Polakom sprawia inne pisanie a inne mówienie — ale sprytni sobie jakoś radzą.

Ja chyba jednak zapiszę się na kurs łaciny. Gdy wyrzucili ten język ze szkół, to wielu łacinników jest bezrobotnych, chętnie i tanio będą uczyć takich jak ja kandydatów na poliglotów. Zresztą pan redaktorze — jak słyszałem — zna 3 języki — polski i dwie łaciny: klasyczną i kuchenną. Dlaczego ja mam być gorszy? Owszem nauczę się. A jak przyjadę do Rzeszowa to sobie po łacinie pogadamy

Teraz we Wrocławiu właściwie nuda. O echach festiwalu „Wratislavia Cantans" — nie chcę pisać. W. Dzieduszycki (ten od „Dymka z papierosa") już dosyć się rozpisywał o tym w „Życiu Literackim" — nie chcę więc robić mu konkurencji. Teraz Dzieduszycki dużo narzeka. Ostatnio narzekał na festiwale. Powiedział, że ich niby za dużo. No bo: Opole, Sopot, festiwal chopinowski, moniuszkowski, festiwal piosenki radzieckiej w Zielonej Górze, „Pieśni i piosenki im. Kiepury" w Krynicy, festiwal organowy we Wrocławiu i koncerty organowe w Krakowie, Koszalinie, Oliwie i Kamieniu Pomorskim. O Le-

Cecylia Błońska

Za Kowalskimi tęskniąc wśród Bradley'ów...

Nakładem „Czytelnika" ukazała się długo oczekiwana książka **Marii Kuncewiczowej „Tristan 1946"**. Jej fragmenty, publikowane uprzednio w naszej prasie literackiej, wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie dla tej obszernej (315 stronic) powieści o losie młodego Polaka — Michała, który po tragicznych przeżyciach okupacyjnych w Polsce, wkrótce po wyzwoleniu przybywa do Anglii.

Jego burzliwe próby przystosowania się, a przede wszystkim dzieje dramatycznej, nieposkromionej miłości do irlandzkiej dziewczyny imieniem Kathleen, przedstawia matka. Jest to osiadła nad Zatoką Kornwalijską Polka, wdowa po niejakim Piotrze Gaszyńskim, polityku większego rozmiaru, człowieku z fantazją, z rozmachem, wielkim patriocie, po którym syn dziedziczy wiele cech zarówno pozytywnych jak i zdecydowanie złych.

Dzięki pomocy mężczyzn, którzy natychmiast zaopiekowali się nią, użyczając funduszy, wspaniałego domu na obczyźnie Wanda Gaszyńska, nazwana Pretty, nie przeżywała okrucieństw wojny w okupowanym kraju. Nie może też zrozumieć strasznych wspomnień, które wloką się za jej synem Michałem, dość trudno wybacza mu żarliwą pamięć, jaką otacza nie tylko zaginionego w Warszawie, ale i jego kochankę Annę — oczywistą jej rywalkę.

Michał z miejsca zostaje porażony miłością do młodej, niebanalnej Kathleen; nie byłoby w tym zresztą nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że zanim obopólne uczucie pochłonie oboje partnerów, młoda Irlandka zdoła zostać prawną żoną znanego uczonego, autora wielu prac, arcybogatego, żywotnego starca Bradley'a zamieszkałego w Truro.

Od tego momentu, gdy w domu Wandy Gaszyńskiej — już Pretty — nad Zatoką Kornwalijską, oboje pod wpływem upojnej symfonii Francka (płyta — ślubny prezent od matki Kathleen dla państwa Bradley'ów) padną sobie w objęcia — autorka z wielką konsekwencją uczyni z dziejów miłości młodej pary transpozycję opowieści o Tristanie i Izoldzie. Nie zabraknie żadnej postaci z tristanowskiej legendy (która przecież zrodziła się w Kornwalii), przetransponowanej na warunki współczesności: starego króla, młodzieńczej, pogrążonej w beznadziejnej miłości pary, nawet wiernego psa...

Wątek Tristana i Izoldy został przez Kuncewiczową potraktowany z ogromną powagą, literacką rzetelnością, prowadziwie po mistrzowsku. Bowiem perypetie trójkąta Michał, Kathleen (zwana później z polską Kasią), oszukiwany Bradley — same w sobie nie byłyby zaskakujące. Z góry można założyć, że irlandzka Izolda prędzej czy później powróci do wspaniałej rezydencji, wygód i ustalonej pozycji u boku starczego męża, że upokorzenia, awantury, wśród których nie brak nawet i prób użycia noża ze strony szaleńczo zakochanego Michała, zawstydzające wędrówki po cudzych mieszkaniach, ostatecznie jej się znudzą.

Nowością, wciągającą czytelnika jest próba ukazywania losów tych ludzi również przez rozmaite osoby postronne. Ten awanturniczy romans, niekiedy rozgrywający się wprost w sypialni zdradzanego Bradley'a, budzi w wielkim świecie ogromne zainteresowanie.

Któż to nie sprzyja owym randkom, ryzykownym spotkaniom, niestrudzenie śledzonym przez oddaną służbę bogatego profesora? Zjawia się nawet znajomy Michała z okresu wojny, jakiś polski lotnik, Rafał z Wojennej Komendy Transportu, jak się okazuje kawaler polskich i brytyjskich odznaczeń za odwagę, który awionetką podwozi spragnionego rozkoszy młodzieńca nieomal wprost do łóżka ukochanej kobiety.

O ich miłości swoje uwagi dzielą z czytelnikami najrozmaitsi ludzie, wśród nich jugosłowiański malarz, który z dawnej Kathleen, aktualnie Kasi, czyni z kolei Katherinę apoteozując jej wdzięk, uwodzicielską urodę.

Kornwalijskie miasteczka, następnie Londyn, roją się od postaci zarysowanych na wskroś realistycznie (nie brak lesbijek jawnie obnoszących się ze swym sentymentem, nie brak nieco wynaturzonych wyznań homoseksualisty, dla którego Michał wydaje się również osobnikiem wysoce pożądanym).

Ale najwięcej zastanowienia budzi motyw, który legł u wszystkich szalonych poczynań naszego Tristana: oto chciał on ratować Kathleen.

— Przed kim?

— Przed drobnomieszczańskimi rodzicami, przed wpływami kołtuństwa, przed jakąkolwiek próbą ograniczania wolności. Później przeciwstawiając swoją młodość, prawo do miłości i wolności więzom małżeńskim łączącym Izoldę — Bradley'ową z jej ustosunkowanym starczym współmałżonkiem, będzie z kolei szukał dróg ratowania siebie samego.

Wśród burzliwych perypetii losu, upokorzeń, których nie szczędzi mu obcy świat, Michał nigdy nie pomyśli o powrocie do kraju. Tak układa mu się życie, iż cokolwiek przedsięweźmie, jest na zawsze chyba skazany na kobiety. Osiada w Ameryce, dokąd ściągnęła go Kate, awanturnicza magnatka, uprzednio śmiało dobierająca sobie przygodnych ojców dla swych córeczek, wychowywanych zresztą z wielką starannością.

Mistrzostwo pióra Marii Kuncewicz sprawia, że niezależnie od oporów, jakie tu i ówdzie książka budzi, **„Tristana 1946 czyta się jednym tchem.** Musi się chwilami wbrew własnemu gustowi aprobować i te partie lirycznej relacji o zabłąkanym Tristanie, w których melodramat sprzymierza się z kawałem znakomitego, wręcz sensacyjnego scenariusza filmowego.

Niezapomniany profesor Juliusz Kleiner, ucząc nas zasad literackiego rozbioru nieraz podkreślał wartości, jakie do swego dzieła wnosi autor, który wchłonął masę obcej kultury. Pisarka, w swej najnowszej powieści dowodzi głębokiej znajomości świata, w którym gubi i odnajduje się Tristan.

Czy to jednak nasza wina, że zafascynowani bogactwem tła obcego, poniekąd egzotycznego, tym serdeczniej wspominamy zwyczajnych Kowalskich, bohaterów niezapomnianej opowieści radiowej, za którą m. in. w roku 1937 Maria Kuncewicz otrzymała nagrodę miasta stołecznego Warszawy. Pochłanialiśmy jej „Dyliżans warszawski", „Cudzoziemkę" wcale nam nie obcą, a dni powszednie państwa Kowalskich były odbiciem naszych własnych.

W swych głośnych w środowiskach polonijnych wykładach o literaturze polskiej, w prelekcji „Klasycy polscy w Chicago", nasza pisarka stwierdziła, iż po wielkim upływie krwi, jeszcze drugie i trzecie pokolenie Polaków chętniej sięga po „Noce i dni" Marii Dąbrowskiej, aniżeli do „Czarnych skrzydeł" czy „Cynamonowych sklepów".

Po zgonie Dąbrowskiej, Kuncewiczowej przypada niepoślednia rola w podtrzymaniu wielkiej tradycji polskiej literatury powieściowej. Głosem zamglonym od wzruszenia na Kongresie Kultury Polskiej przyrzekała żyć i tworzyć z myślą o ojczyźnie. Może, tak często powracając teraz do swych wspomnień z warszawskiego szkicownika, z kolei zechciałaby ofiarować nam opowieść bliższą Warszawie, Kazimierzowi, za którą tęsknimy, trochę obcy wśród Bradley'ów?...

Berliński Festiwal pod znakiem 50-lecia Rewolucji Październikowej

Tegoroczny berliński festiwal muzyczno-teatralny (1—14 października) stanowić będzie uroczysty wstęp do obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej w NRD. W czasie festiwalu wystąpi szereg znanych zespołów z różnych krajów Europy.

Niemiecka Opera Państwowa przygotowała prapremierę „Ballady o szczęściu" Kurta Schwaena oraz „Masaniello" Reinharda Keisera. Koncert inaugurujący festiwal wypełnią utwory Arama Chaczaturiana. Dyrygować będzie gościnnie kompozytor.

W czasie festiwalu wystąpią gościnnie Teatr Narodowy z Pragi, chór i orkiestra Filharmonii Narodowej z Warszawy pod batutą Witolda Rowickiego oraz Teatr Mimiczny z Chile.

(Kt-PAP)

Tak i doczekaliśmy się setnego wydania Monitora, a z nim razem potężnej okazji do uroczystego mówienia o jubileuszu. Miłoż bowiem człowiekowi pisać dobrze, życzliwie i nie na wyrost o programie, któremu rzadko kiedy, albo i wcale nie przylepiał łaty w swoich felietonach, który bez żadnej stronniczości mógł ustawiać na pozycjach jednego z najlepszych w naszej TV i w którego celowość, wraz z tysiącem telewidzów, nie miał powodu powątpiewać nigdy.

Monitor kojarzy nam się z Małcużyńskim tak nierozłącznie, że przysłania nam to skojarzenie tę całą resztę współpracowników Małcużyńskiego, bez których, śmiem wątpić, aby Monitor mógłby się kiedyś narodzić w postaci ambitnego magazynu wydarzeń politycznych z kraju i ze świata. Myślę, że to nader oczywiste stwierdzenie właśnie dziś paść powinno, tak zresztą jak myślę także, że bez Małcużyńskiego z kolei mielibyśmy w miejsce Monitora marną namiastkę Światowida, który raz lepszy, raz zły zupełnie, nigdy jego popularności nie był, niestety, w stanie osiągnąć. A przecież w obydwu programach jest wiele wspólnego, Światowid, kto wie, czy bodaj nie dysponuje ciekawszym materiałem filmowo-reportażowym, ale nie trzeba żadnego znawcy, by dostrzec zasadniczą różnicę w formie komentarza do tych wydarzeń: tę różnicę, która tak wydatnie świadczy na korzyść Monitora.

Kiedy bowiem siądziemy sobie słuchać Światowida, spostrzeżemy niechybnie, że Edward Dylawerski pełni w nim rolę konferansjera: anonsuje zdarzenie, wprowadza jego znawcę, prezentuje go i tak powtarzając sytuacje proporcjonalnie często do ilości zdarzeń, żegna nas w końcu uśmiechem i zaproszeniem na następną środę.

Rola Małcużyńskiego pozornie ta sama — w istocie daleko wybiega poza granice konwencjonalnej prezentacji faktu: Małcużyński bowiem to urodzony komentator, zawsze w jakt zdangażowany, zawsze jakt znający z rozlicznych opinii, zajmujący w tych opiniach miejsce rozsądnego mediatora. Toteż jeżeli można mówić o personality — terminie ostatnio arcymodnym w odniesieniu do twórców telewizyjnych — nie znam godniejszej tego miana.

Skoro już się tak złożyło, że i o Światowidzie tu mówię i Monitorze — więc choć zdanie skromne wykroję dla tej rzeszy pracowników, która przygotowuje oba wydania Dziennika. Tak się bowiem dzieje, że właśnie dzienniki, najpowszechniej oglądane — najmniejsze reperkusje wywołują wśród piszących o TV. Był okres, że pomstowaliśmy na irytujące novum dwu wydań: wczesno- i późno-wieczornego — przyzwyczailiśmy się do tej formy dziś i nie sposób raczej wyobrazić sobie Dziennika w starym kształcie. Naturalnie, że są momenty kiedy zastanawiam się, czy wiadomość GUS-u, iż nasza młodzież jest coraz zdrowsza, odporniejsza i dorodniejsza — to rzeczywiście wiadomość z ostatniej chwili, która winna wejść w skład późnego wydania.. Ale oddajmy sprawiedliwość autorom — nie często częstują nas taką papką niekonkretną: robią, co mogą, aby jej uniknąć. Toteż ze szczerym biciem się w piersi, pewna, że nikogo nie ukrzywdzę — powiem: bodajby ta cała kilkugodzinna codzienna racja tylko tyle tej papki zawierała, a zawód felietonisty będzie rozkosznym pławieniem się w grzecznościach i komplementach...

I teraz już w telegraficznym skrócie:

ostatni Ghelderode w „Klubie kłamców" wymagał nie tylko komentarza krytycznego, ale i zapowiedzi, że młodzież do lat 16 winna wskoczyć w łóżka — czego naturalnie nikt nie zrobił, wychodząc z założenia, że naszej zepsutej młodzieży nic już bardziej zepsuć nie jest w stanie;

ostatnia „Panorama literacka" przyniosła rozmowy z pisarzami X Zjazdu Literatów, w których wyraźnie dźwięczał ton niezadowolenia z wielu form organizacyjnych, ale w którym ani rusz dopatrzyć się nic konstruktywnego na przyszłość nie zdołałam, chyba, że konstruktywne jest stwierdzenie: coś tu należy zmienić;

ostatnie „Profile kultury" z Konina — miasta wielkiej budowy socjalizmu jeszcze raz przyniosły miłą buzię młodej zbuntowanej, która użalała się, że nie ma gdzie porozmawiać, nie ma gdzie wypić kawy, przez co młodzież nie ma się gdzie wyżyć intelektualnie.

Zawsze wzruszona, jeśli słyszę, że ogranicza się wyzycie intelektualne, ale, czy trzeba je uprawiać akurat przy kawie w młodzieżowych kawiarniach? Wydaje mi się, że z powodzeniem można byłoby ukuć termin o polskiej drodze nastolatków do intelektu. Bardzo, przyznajmy, szczególnie pojmowanej.

Władysław Machejek: MIŁOŚĆ I KREW. Wybór prozy. Słowo wstępne Włodzimierz Maciąg. Wyd. Poznańskie, s. 286, cena 25 zł.

Są to fragmenty utworów powieściowych. Za kryterium wyboru i kolejności przyjęto następstwo okresów historycznych. Chodzi więc o prześledzenie powstawania bohatera Machejka. Czy próba się powiodła? Ano, poczytajmy.

Zygmunt Katuszewski: KRYPTONIM „HOMOLJE". MON, s. 334, cena 20 zł.

W latach 1943—1944 na terenie dzisiejszej Jugosławii działały polskie oddziały partyzanckie. Ich dowódcą był kapitan „Nesz", a jednym z oddziałów dowodził również autor niniejszych wspomnień. Egzotyczne tło działań. Ciekawa narracja.

Albert Paris Gütersloh: SŁOŃCE I KSIĘŻYC. Tłum. E. Werfel. PIW, s. 507 + 325, cena obu tomów razem 60 zł.

Autorem jest jeden z najwybitniejszych pisarzy austriackich, znany w Polsce z opowiadania „Kain i Abel". Trudna w czytaniu, ale zarazem pociągająca wyrobionego czytelnika powieść ta nosi podtytuł: „Powieść historyczna z teraźniejszości". Wstęp: Henryk Bereza, który nazywa „Słońce i księżyc" powieścią totalną.

DYLIŻANSEM PRZEZ PRERIĘ. Opowiadania z Dzikiego Zachodu. Iskry, s. 281, cena 33 zł. Tłum. zbiorowe.

Drugie wydanie najlepszych opowiadań anglosaskich autorów wprowadza nas w klimat Ameryki Północnej XIX i XX wieku, pokazuje Indian i ich konflikty z „bladymi twarzami". Ciekawe i dla starszych, i młodzieży.

Władimir Michajłow: PIĘCIU NA DEJMOSIE. Tłum. Z. Dudzińska, Iskry, s. 216, cena 12 zł. Cykl: Fantastyka, Przygoda. Wyd. II.

Walter Bonatti: MOJE GÓRY. Tłum. B. Morton. Iskry, s. 286, cena 17 zł. Seria: Naokoło świata.

Takie książki czyta się jednym tchem. Autorem jest Włoch, znany z legendarnej odwagi alpinista. Opowiada on bezpretensjonalnym językiem swoje przygody w czasie alpinistycznych wypraw w Alpy, Andy i Himalaje. Człowiek, który nie tylko zna, ale i kocha góry.

Angus Wilson: PÓŹNE WSTAWANIE. Tłum. C. Wojewoda. Czytelnik, s. 546, cena 28 zł. Seria: „Nike". Angielski pisarz średniego pokolenia debiutował w 1949 roku. W swojej trzeciej książce daje obraz codziennego życia. Zaczyna swą historię w 1911 roku, ale natychmiast przenosi ją w czasy nam bliższe. Obyczajowa, z psychologicznym podjekstem.

Albert Camus: OBCY. Tłum. M. Żenowicz. Wyd. II. PIW, s. 140, cena 10 zł.

Fabuła kryminalna nie jest ważna w tej psychologicznej zagadce. Mentalność bohatera wychodzi na plan pierwszy. Nie wiem czy nawet 20 000 nakład wystarczy. Nazwisko autora „Dżumy" mówi bowiem wiele każdemu czytelnikowi. Biblioteka Jednorożca.

Jacek Machowski: POD CZARNĄ BANDERĄ. Iskry, s. 276, cena 20 zł.

Czarna bandera powiewała na statku pirackim. I o piratach jest mowa. Tych ze świata antycznego, mórz północnych, południowych. O piratach berberyjskich, karaibskich, Dalekiego Wschodu i naszych dni. W ogóle o piractwie ciekawie i naukowo. Ilustrowane.

Arthur Conan Doyle: TAŃCZĄCE SYLWETKI. Tłum. zbiorowe. Wyd. Poznańskie, s. 374, cena 27 zł. Nakład 60 000 egz.

Tom zawiera 15 utworów klasyka powieści kryminalnej, twórcy postaci słynnego detektywa Sherlocka Holmesa. Drukowane u nas kilkakrotnie. Przed i po wojnie.

Małgorzata Hillar: CZEKANIE NA DAWIDA. Iskry, s. 88, cena 10 zł.

Tomik poetycki gromadzi wiersze w dwóch grupach tematycznych zatytułowanych: „Ogień" i „Brzuch".

Otto Struve i Velta Zebergs: ASTRONOMIA XX WIEKU. Przeł. A. Wróblewski. PWN, s. 589, cena 60 zł.

Amerykański profesor i jego asystentka. Na „skrzydełku" pisze: Czytelnik śledzi rozwój przyrządów astronomicznych, powstawanie pierwszych obserwatoriów, narodziny i rozwój radioastronomii, badania poszczególnych obiektów astronomicznych, odkrywanie nowych gwiazd i szereg innych osiągnięć w tej dziedzinie. B. staranne wydanie. Ilustracje. Nakł. 3 500 egz.

Witold Biegański: REGULARNE JEDNOSTKI WOJSKA POLSKIEGO NA ZACHODZIE. Formowanie. Działania bojowe. Organizacja, metryki dywizji i brygad. MON, s. 284, cena 30 zł.

Tom piąty serii Wojsko Polskie. Krótki informator o Wojsku Polskim w latach II wojny światowej.

Anna Wierzbicka: O JĘZYKU DLA WSZYSTKICH. Wyd. II rozszerzone. Wiedza Powszechna, s. 230, cena 17 zł.

P. Wierzbicka pisze: Ambicją autorki jest zreferowanie niektórych ważniejszych i ciekawszych ustaleń nowoczesnej wiedzy o języku. I to o języku w ogóle. Coś niby kompendium w pigułce wiedzy o tym ogromnym zagadnieniu. Ciekawe są głównie przykłady.

Bogdan Suchodolski: ŚWIAT CZŁOWIEKA A WYCHOWANIE. KiW, s. 590, cena 59 zł. Zbiór rozpraw i odczytów.

ROCZNIK LITERACKI 1965. PIW, s. 674, cena 70 zł.

Zawiera podsumowanie dorobku literackiego i najważniejszych wydarzeń kulturalnych za dany rok, jest to bowiem publikacja periodyczna. Dla bibliotekarzy, nauczycieli polonistów i interesujących się literaturą i kulturą.

żajsku nic nie mówił. Milczenie jest chyba aprobatą — nie? A może nic o tych naszych organach nie słyszał? Dzieduszycki ponadto boi się, iż ta inwazja festiwali może doprowadzić do zupełnego zdeprecjonowania nazwy. Zastanawia się też, czy potrafi się tak dużo festiwali utrzymać na wysokim poziomie — i to są słuszne wątpliwości! W Rzeszowie nie ma festiwali i dobrze! Pan — redaktorze, nie musi przynajmniej narzekać (tak jak Dzieduszycki) i martwić się, czy aby rzeszowski festiwal utrzymałby się na wysokim poziomie.

Nie ma jak to Rzeszów! Nawet tu we Wrocławiu jest kilka ulic z nazwami miast rzeszowskich. Pyta pan skąd wiem? Niedawno pobłądziłem i gdy znalazłem się u wylotu ulicy Kolbuszewskiej — to pomyślałem, że mam albo halucynacje, albo jakieś niedobre skojarzenie. Niby dlaczego Kolbuszewska a nie Kolbuszowska? Skoro jest Kolbuszowa, a nie Kolbuszewa? Pan to by chyba wiedział. Ale ja nie. Pomyślałem, że to nie od tego rzeszowskiego miasteczka. Ale jak już znalazłem się na ulicy Tarnobrzeskiej, a niedaleko Mieleckiej, Stalowowolskiej — to już nie miałem złudzeń. Ten sam patriotyzm lokalny i ta sama tęsknota, która rzeszowianom nakazała stworzyć dzielnicę „Samych swoich" — teraz mnie każe włóczyć się po niej. Tak mnie to wzruszyło! Ot, co jest, panie redaktorze: kochamy tę ziemię rzeszowską i tęsknimy za nią.

Serdeczne ukłony z Wrocławia

JUST

P. S. Aha! Zapomniałem dodać, że list ten piszę do pana specjalnym długopisem „Pamiątka z Bieszczadów". Ale co to mi za pamiątka. Długopis kupiłem w kiosku we Wrocławiu. Żeby to chociaż w Cepelii. Tamten poprzedni — to kupiłem w Ustrzykach Dolnych — ale już się wypisał.

Bogumiła Grzędzielska

ZEGAR

Nad moim łóżkiem ojciec przyczepił kerteczkę: „W pokoju nie wolno bawić się piłką". Czerwone, ze lśniącego papieru wycięte litery wspaniale kontrastowały z kremową barwą ściany. Zasypiałam i budziłam się z ich widokiem w oczach. Tkwiły na ścianie tylko w zasięgu wzroku, nie przybliżało ich nawet wspinanie się po poręczy łóżka.

Któregoś popołudnia rodzice wybierali się do miasta. Matka powiedziała:

— Mam nadzieję, że nie będziesz bawić się piłką. Jest za duża, aby nią rzucać w mieszkaniu. Zamykając drzwi szepnęła do ojca

— Co za pomysł sprawić małemu dziecku taką dużą piłkę.

Pierwsza godzina samotności zeszła mi na wyglądaniu przez okno i rysowaniu wzorków na szybie. Potem nie było już jak zapełnić nudnie wlokącego się popołudnia. Przypomniałam sobie piłkę. Wyglądała tak zachęcająco. Pogładziłam ręką lśniącą, szafirową powierzchnię. Ugięła się nieznacznie. Podrzuciłam nią kilka razy. Posłusznie wracała do rąk. To była świetna zabawa. W domu nie było nikogo, na dworze padał deszcz a ja miałam piłkę. Coraz szybciej obijałam ściany pokoju, aż nagle, jeden gwałtowny, nieopatrzny ruch, trzask, brzęk i na ziemi obok balonu leżał zegar.

Zdrętwiałam z przerażenia. Z oddalenia kilku kroków patrzyłam na okruchy rozbitej porcelany. Skóra cierpła na wspomnienie zapowiadającego się lania. Głowiłam się nad usunięciem śladów katastrofy, próbowałam zlepić szczątki klejem z mąki i wody. Naturalnie bez skutku. Wreszcie w przystępie ostatecznej rozpaczy i strachu podniosłam zegar i zamykając oczy wyrzuciłam go przez okno do ogrodu.

Rodzice początkowo nic nie zauważyli. Dopiero wieczorem matka przystanęła na środku pokoju i spytała.

— Dlaczego tu tak cicho?

Skuliłam się na łóżku, naciągając kołdrę na głowę.

— Gdzie jest zegar — usłyszałam po chwili — zabrałeś zegar — zawołała mama w stronę drugiego pokoju, do ojca.

Chciałam umrzeć ze strachu. Zdawało mi się, że jeśli przestanę oddychać, natychmiast przeniosę się w zaświaty. Aby to stało się szybciej wpakowałam do ust róg kołdry, zatkałam nos palcami i głowę ukryłam głęboko pod poduszką. Usłyszałam jednak nad sobą złowieszcze pytanie?

— Bawiłaś się piłką?

Wszedł ojciec i wymotawszy mnie z pościeli zapytał:

— Dziecinko, gdzie jest zegar?

Odetchnęłam głęboko jak pływak po wyjściu na brzeg.

— Uupaadłaa mii laalka z bbalkonu. Zeszłam po nią na dół i jak wróciłam zegara nie było. Pewnie wwyszedł...

Napiętą atmosferę rozładowało pukanie do drzwi. Matka poszła otworzyć i po chwili wróciła w towarzystwie sąsiadki. Zaaferowana kobiecina wyciągnąwszy zegar spod poły żakietu wręczyła go matce ze słowami.

— Taki ładny zegar. Leżał pod moim oknem na grządce z rezedą. Jak to się stało?... i pochylając się nad tarczą dodała — 6,15. —

Milczenie, jakie zapanowało po tych słowach, pierwszy przerwał ojciec.

— Zegarowi urosły nogi — uśmiechnął się nieznacznie — teraz śpij, a policzymy się jutro.

Przez chwilę jeszcze rodzice rozmawiali w przedpokoju. Nasłuchiwałam z podnieceniem. Ojciec powiedział do matki:

— Nie denerwuj się, to był naprawdę paskudny zegar.

W wiele lat później grzebałam w stosie starych, domowych rupieci. Z zakurzonych szpargałów wyciągnęłam przedmiot. Wskazówki zardzewiały, kluczyk tak jak kiedyś wisiał na łańcuszku. W środku między trybami pająk rozsnuł pajęczynę. Nakręciłam zacinający się mechanizm. Zazgrzytało coś, jęknęło i nagle rozległo się pośpieszne, donośne tykanie.

Zegar chodzi do dziś. Nic nie zostało z jego biało-niebieskiej porcelanowej tarczy. Zamiast niej jest kawałek dykty z nalepionymi cyframi, które wycięłam z lśniącego, czerwonego papieru. Zasłużony mechanizm chodzi nad podziw punktualnie. Czasem tylko wzdycha i zatrzymuje się o 6,15.

Kurtyna z braw

czyli kilka zwątpień sportowych

Sport, zjawisko wyznaczające wymiary ludzkim możliwościom czy humanitarne rozładowanie nawyku walki? Potrzeba czy zbytek?

Przesilenie nastąpiło, kiedy ujęty w cyfry wysiłek przezwyciężył cel klasyczny. Wiek techniki z liczbami — wszystko musi mieć swój wymiar, ruch mięśniowy też. Wyszukano najlepszych, najsprawniejszych, dla nich wszystko. Niech demonstrują co ludzkość potrafi. Pozostali są dumni, biją brawa — to my jesteśmy tacy mocni, tak szybko biegamy, tak wysoko skaczemy. Jedno spięcie rozładowane, choć bez osobistego udziału kibiców. Wybrańcy muszą ćwiczyć do upadłego, wyrzec się codziennych radości. Żądamy tego, niech pokażą jacy jesteśmy mocni.

2

Maszyna. Duże koła, dźwignie, ciężkie młoty, korby. Silne mięśnie musiały nad nimi panować. Dziś biała klawiatura, szybki refleks, (minimalny wysiłek palców). Pozostał symbol maszyny, symbol pracy. Pot szczerego wysiłku nie rosi czoła. Mięśnie nagle przestały pracować, drzemią w napięciu. Kto, czy co, uwolni ich energię? Jak długo mogą trwać bezczynnie? Oklaskiwani potrafią pasjonować, rozmieniać na drobne ileś tam „ludzkich koni mechanicznych". Ale one istnieją, krążą, czasem spotykamy ich ujście przypadkowe, najczęciej tragiczne, nieludzkie. Następne uderzenia mogą być jeszcze mocniejsze. Nerwy, precyzja szybkość uwagi, decyzji. Herkulesowe mięśnie są zbyteczne, pozostały na pokaz u kilkunastu osobników, specjalnie do tego celu wynajętych. Szlachetny bohater o potężnych bicepsach jako wzór czasem wraca. Był symbolem walki otwartej, męskiej. Przegrał niestety z osobnikiem przebiegłym opiętym w szaty sfrustrowanego nieszczęśnika żyjącego w bezkonfliktowym bagienku swojego „intymnego świata". Przegrał, bo stosował wszystkie możliwe środki walki, byle skuteczne. I nie ma już szlachetnych pokonanych.

3

Zawody, czyli misterium celebrowane. Dzielą nas brawa. Zaparty oddech, wypieki, wrzask. Musimy udowodnić przeciwnikowi, że panujemy. Jesteśmy mocni — wygramy. Tak jest dobrze — to bohaterska postawa, to jesteśmy my. Pokażemy im niech patrzą i podziwiają. To ulga. I już strach przed następnym. Co dalej ze świętą sprawą? Gdzie znowu znaleźć wentyl czy furtkę ujścia.

4

Czas wolny od pracy — dobrodziejstwo wywalczone przez ludzkość czy przekleństwo? Czas, w którym można realizować swoje własne pragnienia, czas autentyczny, bo osobisty. Czas, w którym wg statystyk popełnionych zostaje najwięcej zbrodni, przestępstw. Czym go wypełnić, żeby stał się twórczy, a nie „płodził potworów" Wysiłek fizyczny towarzyszył człowiekowi od początku, z nim przemierzył całe epoki. I nagle pozbywa się go jak balastu. Znalazł sobie umyślnych do popisu, a sam się przygląda.

5

Nawoływania organizatorów i odpowiedzialnych za tę dziedzinę życia zdają się nie odnosić skutku. Wysiłek fizyczny jest ciągle dla wybrańców. Może nastraszyć rzesze wygodnych kibiców, konsumentów? Może na wzór obowiązkowych szczepień wprowadzić obowiązek podnoszenia np. 500 kg tygodniowo przez każdego obywatela? Sezonowe mody czy szały niewiele tu pomogą.

W czasie wolnym od pracy konieczne jest rozładowanie napięcia, uwolnienie drzemiącej energii, skierowanie jej na tory twórcze. Przywrócenie równowagi między człowiekiem a przyrodą, zlikwidowanie kurtyny z braw — oto cel szlachetny.

SŁAWOMIR KOTULA

ADAM JANUSZ BIEŃ — młody prozaik z Przemyśla.
RYS. J. SIENKIEWICZ

POLONICA KULTURALNE

„Ferdynand Wspaniały" w Japonii

Tokijska firma edytorska Iwanami Shaten wydała książkę dla dzieci Ludwika Jerzego Kerna „Ferdynand Wspaniały". Japońskie dzieci otrzymały tę książkę, podobnie jak dzieci polskie, z ilustracjami Kazimierza Mikulskiego.

„Ziemia obiecana" Reymonta w przekładzie czeskim

Stulecie urodzin Władysława Stanisława Reymonta nasi czescy sąsiedzi uczcili wydaniem jego powieści „Ziemia obiecana" w przekładzie Borzivoja Krzemenaka. „Ziemia obiecana", w 15 tys. egz., ukazała się nakładem wydawnictwa „Svoboda" w Pradze.

Polscy autorzy w międzynarodowej antologii

W wydanej w stolicy NRD (Das Neue Verlag) międzynarodowej antologii utworów fantastyczno-naukowych znalazły się również dwa opowiadania polskich autorów: Konrada Fiałkowskiego „Szansa śmierci" i Stanisława Lema „Doktor Diagoras".

KSIĄŻKA IGORA BEŁZY o M. K. OGIŃSKIM

Nakładem wydawnictwa „Muzyka" ukazała się w Moskwie książka wybitnego radzieckiego muzykologa, a także znawcy i zasłużonego popularyzatora polskiej kultury muzycznej prof. Igora Bełzy pt. „Michał Kleofas Ogiński". Autor, opierając się na setkach rękopisów, dokumentów i innych materiałów przedstawia polskiego kompozytora nie tylko jako muzyka, ale również jako gorącego patriotę, działacza politycznego, wyraziciela dążeń wolnościowych narodu polskiego. Obszerny szkic biograficzny uzupełniają wnikliwe analizy czołowych utworów Ogińskiego, zwłaszcza polonezów, walców, pieśni wojskowych i patriotycznych.

„W SŁOŃCU" JULIANA KAWALCA W CSRS

W przekładzie znakomitej tłumaczki naszej literatury Heleny Teigovej ukazała się w Pradze powieść Juliana Kawalca „W słońcu". Książkę wydał Ceskoslovensky Spisovatel.

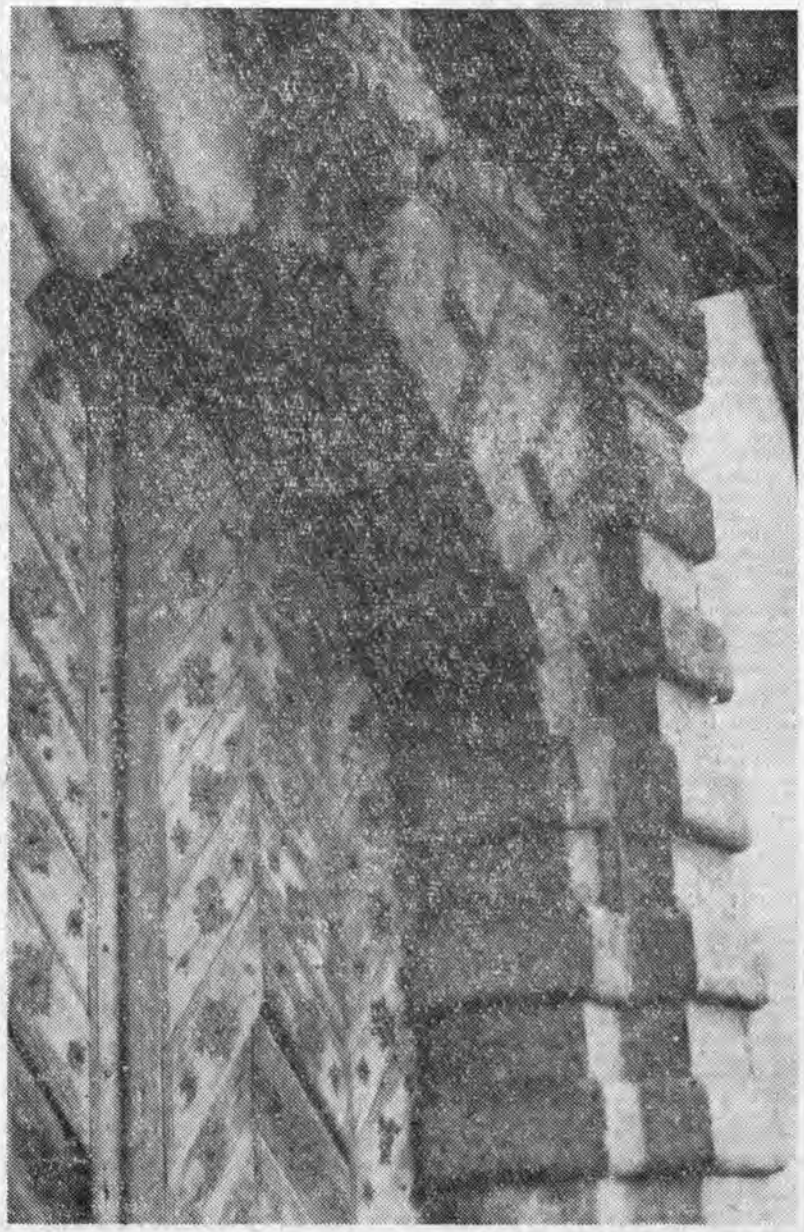

Krasiczyn — brama *Fot. M. KOPEĆ*

Zdarzenia tygodnia

We wtorek, 26 września odbyło się posiedzenie Komisji Kultury, Sportu i Turystyki WRN, poświęcone ocenie działalności Wojewódzkiego Domu Kultury w zakresie poradnictwa dla amatorskiego ruchu artystycznego.

Komisja po wysłuchaniu sprawozdania kierownictwa WDK wysunęła szereg wniosków, zmierzających do jeszcze lepszego wykorzystania możliwości i środków, jakimi ta placówka dysponuje. Postulowano także pod adresem Prezydiów PRN poprawę warunków lokalowych powiatowych placówek metodycznych, które jak wiemy, nie wszędzie są najlepsze.

* * *

Ostatnio zakończyła prace wojewódzka komisja kwalifikacyjna, która dokonała klasyfikacji kin według nowych kryteriów. Obecnie, zgodnie z uchwałą Rady Ministrów, obowiązuje nowy podział kin na kategorie, niezależnie od ich podporządkowania i miejsca działania. A oto nowa tabela kryteriów: zero-ekran i kategorie od 1 do 4 (bez dotychczasowego podziału na miejskie i wiejskie). W związku z powyższą klasyfikacją w niektórych przypadkach ceny biletów ulegną nieznacznym zmianom.

* * *

W czwartek, 28 września w rzeszowskim Domu Sztuki otwarta została wystawa malarstwa Jadwigi Karwackiej, wieloletniej nauczycielki Liceum Sztuk Plastycznych w Sędziszowie. Nazwisko tej artystki pojawiało się wielokrotnie obok czołowych malarzy polskich na ogólnopolskich wystawach. Obecna wystawa, jako trzecia indywidualna, po wystawie w Rzeszowie w 1962 r. i w Sędziszowie w 1966 r. pokazuje dorobek artystyczny ostatnich pięciu lat.

* * *

Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie i Ekspozytura CWF organizują z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej turniej finałowy pt. „50 lat kinematografii radzieckiej".

Szczegółowych informacji zainteresowani mogą zasięgnąć w zakładowych placówkach k.o. oraz kinach związkowych. Eliminacje mają charakter trzystopniowy (środowiskowe, okręgowe i wojewódzkie).

* * *

26 września odbyło się posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Upowszechniania Książki i Prasy Technicznej WKZZ. Wchodzący w skład komisji przedstawiciele zainteresowanych instytucji omówili przygotowania do obchodów jubileuszowych, X Dni Upowszechniania Książki i Prasy Technicznej 1967. W związku z przypadającą w tym roku 50 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej tegoroczne „Dni" będą okazją zaprezentowania książki i technicznej prasy radzieckiej.

* * *

W ubiegłą niedzielę, tj. 24 września w WDK odbyło się seminarium instruktorów żywego słowa i zaawansowanych recytatorów z kategorii ogólnej.

Uczestnicy wysłuchali informacji o przebiegu XIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w województwie rzeszowskim i na szczeblu centralnym. Zajęcia warsztatowe obejmowały m. in. zagadnienia interpretacji i środki wyrazu artystycznego we współczesnej recytacji utworu literackiego i recytację. Wzbudziły one duże zainteresowanie ze względu na to, że prowadził je znany i popularny aktor scen krakowskich, Jerzy Nowak.

* * *

Ukazał się drugi tom Rocznika Sanockiego, wydawnictwa Towarzystwa Rozwoju i Upiększania Miasta Sanoka. Tom pierwszy, jak wiadomo został wydany z okazji 800-lecia Sanoka, drugi natomiast związany jest tematycznie z okresem władzy ludowej w Polsce.

* * *

W lokalu tarnowskiego Biura Wystaw Artystycznych eksponowane są obecnie prace rzeszowskich artystów plastyków Cezariusza Kotowicza, Zdzisława Ostrowskiego i Mariana Ziemskiego.

Jest to zestaw prac, które jak już informowaliśmy, były wystawione w Krakowie.

Kalman Segal

Mętna woda

Przez długi czas spotykałem się z tym człowiekiem na brzegu jeziora, gdzie w wolnych chwilach oddawałem się pasji wędkarstwa. Siadywał zazwyczaj w odległości kilkuset kroków ode mnie, co jednak nie przeszkadzało mi uważnie go obserwować.

Początkowo podziw, jaki dla niego żywiłem, rychło przemienił się w zazdrość. Bo pomyślcie sami — podczas gdy mnie dość rzadko udawało się złowić jakąś maleńką płotkę, on z niedbałą nonszalancją wyciągał mięsiste i tłuste ryby, taaakie duże!

Któregoś dnia zapytałem go:

— Łowimy w jednym jeziorze, jakim okolicznościom zawdzięcza pan swój obfity połów?

— Ha? — roześmiał się triumfująco. — Ja, panie szanowny, łowię w mętnej wodzie. Niech pan spojrzy...

Podszedłem do niego i spojrzałem. W tym miejscu woda istotnie była mętna, brudna i cuchnąca. Odwróciłem się ze wstrętem i odszedłem.

Minął jakiś czas. Mój sąsiad nadal parał się przy mętnej wodzie i wydobywał z niej obfity połów.

Pewnego dnia nastąpiła katastrofa. Złowiona ryba była tak ciężka, że pociągnęła rybaka na dno. Podszedłem do miejsca wypadku — woda cuchnęła tam jeszcze bardziej niż dotychczas.

Ktoś na brzegu jeziora westchnął, pacierz odmówił, ktoś ze łzami w oczach szepnął:

— Szkoda go, taki dobry rybak...

Nazajutrz, jak zwykle, wyszedłem nad jezioro. Nieco dalej od mego stanowiska, nad mętną brudną wodą znowu siedział człowiek. Był łudząco podobny do wczorajszego nieboszczyka.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2851, 2857 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.